



Polskie Termopile w cieniu wojny W Zadwórzku uczczono obrońców z 1920 roku



ALEKSANDER KUŚNIEŻ

W Zadwórzku, trzydzieści trzy kilometry na wschód od Lwowa, odbyły się uroczystości Święta Wojska Polskiego oraz 106. rocznicy bitwy z sierpnia 1920 roku. Przy usypanym w okresie międzywojennym kurhanie modlili się polscy dyplomaci, oficerowie Wojska Polskiego, reprezentanci ukraińskich władz samorządowych, lwowscy Polacy oraz społecznicy opiekujący się mogiłami na Wschodzie. W warunkach trwającej pełnoskalowej agresji Rosji przeciwko Ukrainie pamięć o powstrzymaniu ówczesnej nawały zyskała wymiar rzeczowej lekcji wojskowej organizacji, sojuszy i ceny niepodległości.

» strona 4

Przybliżamy Mikołaja Reja



» strona 8

Jesse Eisenberg jako wolontariusz w Ukrainie



» strona 12

Poturzyca zapisana wierszem i rysunkiem



» strona 16



» strona 5

Kazimierz Wierzyński o przedwojennej i powstańczej Warszawie



» strona 20

Rosyjskie ataki na Ukrainę. Co najmniej 12 osób zginęło, 86 zostało rannych

Co najmniej 12 osób zginęło, a 86 zostało rannych w wyniku rosyjskich ataków w nocy z 10 na 11 sierpnia w kilku obwodach Ukrainy – wynika z informacji przekazanych przez lokalne władze. Wśród ofiar są dzieci.

Najtragicznieszka sytuacja jest w obwodzie zaporoskim. Jak poinformował przewodniczący Zaporoskiej Obwodowej Administracji Wojskowej Iwan Fedorow, w wyniku rosyjskich ataków na Zaporozie i okoliczne miejscowości zginęło sześć osób, a 52 zostały ranne.

Według władz obwodowych w ciągu doby rosyjskie wojska przeprowadziły łącznie 938 ataków na 58 miejscowości. Na Zaporozie skierowano m.in. 10 uderzeń rakietowych oraz 23 ataki z powietrza. Rosjanie wykorzystali również 651 dronów różnych typów, głównie FPV, siedmiokrotnie ostrzelali cele z wyrzutni rakietowych oraz przeprowadzili 247 ostrzałów artyleryjskich.

W samym Zaporozu doszło w nocy do zmasowanego, kombinowanego ataku przy użyciu rakiet i kierowanych bomb lotniczych. Zginęło sześć osób, a 19 zostało rannych. Uszkodzone zostały cztery budynki mieszkalne oraz obiekty niemieszkalne. Władze otrzymały 341 zgłoszeń dotyczących



zniszczeń i uszkodzeń domów, samochodów oraz infrastruktury.

Ofiary w obwodzie dniepropietrowskim

Tragiczny bilans odnotowano również w obwodzie dniepropietrowskim. Według przewodniczącego administracji wojskowej Ołeksandra Gandzy w wyniku ponad 20 rosyjskich ataków z wykorzystaniem dronów i artylerii zginęły trzy osoby, a pięć zostało rannych.

Wśród ofiar śmiertelnych jest 15-letni chłopiec.

Wśród rannych znalazło się dwóch nastolatków w wieku 16 i 17 lat oraz siedmioletnia dziewczynka.

Rosjanie atakowali m.in. rejon synelnikowski, krzyworoński, nikopolski, kamieński i pawłohradzki. Uszkodzone zostały między innymi budynki mieszkalne, samochody, obiekt firmy logistycznej, bank, internat, sklep oraz prywatne domy.

Chersoń. Zginęło dziecko

Kolejne ofiary rosyjskiego ostrzału są w obwodzie chersońskim. Przewodniczący

administracji wojskowej Ołeksandr Prokudin poinformował, że w ciągu doby w wyniku rosyjskich ataków zginęły dwie osoby, w tym jedno dziecko. 11 osób zostało rannych, wśród nich dwoje dzieci.

Rosyjskie wojska prowadziły ostrzał artyleryjski, ataki dronowe oraz uderzenia z powietrza. Celem były między innymi dzielnice mieszkalne oraz infrastruktura krytyczna i społeczna.

Uszkodzonych zostało 13 budynków wielorodzinnych i sześć domów prywatnych.

Zniszczenia odnotowano również w budynkach administracyjnych, domu kultury, supermarkecie, placówce pocztowej, zabudowaniach gospodarczych, a także w sprzęcie rolniczym, garażach i samochodach.

Ataki także w obwodzie sumskim

Rosyjskie wojska intensywnie ostrzeliwały również obwód sumski. W ciągu doby odnotowano 95 ostrzałów 35 miejscowości w 15 hromadach. Najwięcej ataków miało miejsce w rejonach sumskim i szostkińskim.

Według władz obwodowych jedna osoba zginęła. Był to 43-letni mężczyzna, który zmarł w szpitalu w wyniku obrażeń odniesionych 9 sierpnia. W wyniku rosyjskich ataków rannych zostało także 18 osób. Wśród poszkodowanych są m.in. 17-letni chłopiec oraz pięcioletnia dziewczynka. Rosjanie używali między innymi kierowanych bomb lotniczych, dronów oraz moździerzy.

W kilku miejscowościach uszkodzone zostały prywatne domy, obiekty niemieszkalne i infrastruktura cywilna.

ŹRÓDŁO: TELEGRAM, IVAN FEDOROV/
TELEGRAM, DNIPROPETROVSKA ODA/
FACEBOOK, OLEKSANDR PROKUDIN/
FACEBOOK, SUMSKA ODA

Cudowne ocalenie we Lwowie

30 lipca, akurat w dniu wydania poprzedniego numeru Kuriera, na Lwów poleciało 20 rosyjskich rakiet. Niestety dwie z nich trafiły w budynki mieszkalne, przynosząc ich mieszkańcom nieszczęścia, śmierć i utratę dorobku całego życia.

KRZYSZTOF SZYMAŃSKI

Akurat traf chciał, że w zrujnowanym przez raketę bloku mieszkała znana chyba we Lwowie wszystkim Bożena Sokołowska – lwowianka z urodzenia, działająca w wielu organizacjach polskich: aktorka Polskiego Teatru Ludowego, chóru Echo, prowadząca występy zespołu młodzieżowego Sześć Złotych. Jej ostrymi satyrycznymi felietonami na antenie polskiej rozgłośni Radia Niezależność zachwycali się słuchacze. Tym właśnie się charakteryzowała – ostrymi wypowiedziami, nigdy niczego nie „owijała w bawełnę”, lecz mówiła to co myśli. Należała do założycieli Klubu Kobiety przy Centrum Edukacji im. Mikołaja Reja. Żyłkę aktorską zachowała



BOŻENA SOKOŁOWSKA, JAKĄ ZNAMY

do dnia dzisiejszego (o tym później). Jej marzeniem było odegrać skecz satyryczny oparty na dowcipach z serii „przyszła pani do doktora”. Większość z nas pamięta ją taką, jak przedstawia jej zdjęcie – dystygnowana starsza pani w kapeluszu, na wzór Hanki Bielickiej.

Ale wróćmy do 30 lipca. Traf chciał, że jedna z rakiet uderzyła w blok pani Bożeny i to w trzecią klatkę schodową, gdzie mieszkała na trzecim piętrze (licząc z parterem). Zajmowała tu dwupokojowe

mieszkanie, którego większy pokój wychodził na jedną stronę bloku, mniejszy i kuchnia na przeciwną. Dwie górne kondygnacje pięciopiętrowego bloku uległy całkowitemu zniszczeniu. Nad większym pokojem naszej bohaterki otwarło się gwiaździste poranne niebo. Runęła też klatka schodowa. Na szczęście spała w mniejszym pokoju – płyta sufitowa wytrzymała wybuch i nie zapadła się.

Gdy po drabinie, przystawionej do resztek okna na trzecim piętrze, wdrapał się ratownik, zobaczył kobietę, kurczową ściskającą pod pachą jasek. Była całkiem przytomna, chociaż w szoku. Nazwała swoje imię i wiek. Ratownik zorientował się, że nie uda się jej ewakuować po drabinie i poprosił strażaków o podstawienie specjalnego ewakuacyjnego kosza. W ten sposób nasza pani Bożena w kapciach i koszuli nocnej znalazła się na ziemi. Ktoś okrył ją kurtką.

Naturalnie lekarze zaczęli dopytywać się jak się czuje, bo nie miała żadnego zadraśnięcia szkłem pękających szyb, czy rozlatującymi się kawałkami cegieł – dosłownie nic. Powiedziała, że nazywa się Bożena. A na pytanie jak się czuje,

pierwszą odpowiedzią było – „jak aktorka”. Potem dodała: „Jak we śnie” i stwierdziła, że do rakiet już się przyzwyczaiła, do schronu nie schodziła, tylko wciąż się modliła.

Na szczęście z tego wybuchu rakiety ocalała sąsiadka, która poinformowała o tym mieszkającą w Polsce córkę pani Bożeny. Ta z kolei zadzwoniła do swych przyjaciół we Lwowie i oni zaopiekowali się jej matką. Córka przyjechała na drugi dzień, co zresztą miała w planie,

bowiem 3 sierpnia przypada kolejna rocznica urodzin pani Bożeny (nie piszę która, bo kobietom lat się nie liczy).

W tym wszystkim za cud można uznać to, że pani Bożena wyszła z tej straszliwej historii bez żadnego zadraśnięcia. Widocznie jej misja na tym padole nie została jeszcze ukończona i ma coś ważnego do zrobienia. Życzymy jej w tym wszelkiej pomyślności i długich lat życia.



OKNO Z PRZYSTAWIONĄ DRABINĄ NALEŻAŁO DO WIĘKSZEGO POKOJU PANI BOŻENY

Biathlon czołowy



PREZYDENT UKRAINY WOŁODYMYR ZEŁENSKI SPOTKAŁ SIĘ W BIELGRADZIE Z PREMIEREM SERBII DURO MATSUTEM

Ostatnie miesiące trudno byłoby nazwać złotą passą prezydenta Zełenskigo, nawet przy sporej dozie dobrej woli. Nieprzemysłaną (a może i przemysłaną, tylko w pokrętny sposób) dymisją Mychajła Fedorowa wyhodował sobie potencjalnie groźnego rywala, pomysłem z nadaniem imienia „Bohaterów UPA” formacji sił zbrojnych wymiernie przyłożył się do zwrotu antyukraińskiego na nadwiślańskim scenie politycznej... Ostatnio natomiast w Kijowie głośno o kolejnym skandalu z korupcją w tle. Tym razem bohaterem – a raczej bohaterką – nie jest ktoś równie bliski mu oraz wysoko postawiony, co Andrij Jermak, bo była już ambasador Ukrainy w Stanach Zjednoczonych, Olha Stefaniszyna. Jednakże ten fakt nie do końca czyni sytuację mniej groźną dla Zełenskigo.

MACIEJ SERŻYSKO

Przede wszystkim, o ile „wiceprezydenta” (jak nazywano potężnego Jermaka) społeczeństwo, delikatnie mówiąc, specjalnie nie chciało pokochać, tak Stefaniszyna nie była postacią z pierwszych stron gazet. Nie mniej teraz, gdy przyciągnęła uwagę i pozwoliła się dokładnie prześwietlić, szerokie masy ujrzały kogoś jakże nieprzystającego do stereotypu tkwiącego w układzie urzędnika. Młoda (rocznik 1985), wykształcona i obyta ze światem, o korzystnej prezencji, z bogatym bagażem doświadczeń. Zdążyła już być ministrem sprawiedliwości (2024–2025; znamienne, że jej następcą był Herman Hałaszczenko, jedna z głównych postaci afery, która ostatecznie zatopiła Jermaka) i wicepremierem zawiadującym integracją europejsko-atlantyczną (2020–2025). Przed objęciem kierownictwa nad

misją dyplomatyczną w Waszyngtonie była również specjalnym wysłannikiem prezydenta Ukrainy do USA (2025). Inaczej mówiąc: pełniła funkcję rodem z administracji Donalda Trumpa, który kiedy się na czymś skupi, znajduje sobie od tego oficjalnego pełnomocnika. Gdy przybierały na sile groźby Trumpa co do zajęcia Grenlandii, wyznaczył gubernatora Luizjany Jeffrey’a Landry’ego na „specjalnego wysłannika” ds. Grenlandii. Równocześnie tacy ludzie, z których najśłynniejszym jest niewątpliwie Steve Witkoff, „specjalny wysłannik na Bliski Wschód”, nie zawsze trzymają pieczę nad newralgicznymi punktami amerykańskiej polityki. Dajmy na to 31 lipca bieżącego roku dobiegła końca kadencja Ellen Germain, „specjalnego wysłannika do spraw Holocaustu” (sic!).

Oddelegowana do obłaskawiania niezwykle kapryśnego partnera, jakim stały się Stany Zjednoczone pod wodzą Donalda Trumpa, Stefaniszyna uosabiała to, do czego nowe ukraińskie elity aspirowały i wciąż aspirują. Wizję urzędników kompetentnych, otwartych na świat, czerpiących z zachodnich wzorców i nie przejawiających kompleksów względem kogokolwiek. Ludzi, którzy wyrwali się ze sztywnej, brutalnej i brudnej poradzieckiej rzeczywistości, aby pewnego dnia móc w Brukseli stawiać jak równy z równym obok Francuzów, Szwedów i Niemców. Samymi podejrzeniami o działania korupcyjne (obowiązuje wszakże domniemanie niewinności) pani ambasador skalala wizerunek, który Kijów stara się skrupulatnie budować. Dotąd, w powszechnym wyobrażeniu, zepsucie i patologie miały twarz pamiętającego ZSRR oligarchy i dogadującego się z nim pana w niemodnym garniturze. Można powiedzieć wręcz, że następował swoisty podział na „stara” Ukrainę (przymusowy pobór, Syrski, ataki piechoty, procedury, stara szkoła robienia wszystkiego) oraz tę „nową” (Fedorow, drony, cyfryzacja, Drapaty – nowy ulubieniec narodu, sen o Zachodzie). Klaraowała się przy tym tendencja do niemalże automatycznego przypisywania tego, co dobre (ataki w głąb Rosji, odbijanie wsi na froncie, stabilizacja relacji z USA) „Ukrainie nowej”. Problemy (zwłaszcza korupcję) składano na karb „Ukrainy starej”. W ten sposób taki Fedorow wyrastał na niemalże mitycznego ojca wszystkich sukcesów, a naczelny dowódca Syrski skupiał

na sobie gniew i rozczarowanie narodu, który to jakby zapomniał (czy raczej, co oczywiste w emocjach, nie uwzględnił), iż na czele armii stał od lutego 2024 roku – i z całą pewnością nie można powiedzieć, że był to czas, w którym wojsko Kijowa nie robiło nic innego, jak powtórki z Bachmutu, czy Awdijiwki.

Wizja, nakładająca się do pewnego stopnia z marzeniem rzesz – zwłaszcza młodych – Ukraińców o odniednieniu kraju, krąży od Lwowa po linię frontu. „Nowa Ukraina” rodzi się w umysłach i sercach i już teraz realizuje się w unowocześnieniu państwa. Ta ojczyzna, demokratyczna, sprawcza i nowoczesna, dom aktywnego społeczeństwa obywatelskiego, dla którego sieć wolontariuszy dostarczająca zaopatrzenie dla odpięrających wroga brygad jest raptem początkiem możliwości, będzie z pewnością chodliwym towarem podczas następnej kampanii wyborczej. „Nowa Ukraina” stanie się kapitałem, który rywalizujące o władzę ugrupowania będą się starały zagospodarować. Raczej nie należy spodziewać się, że całość tego konstruktu skanalizuje się w jednym, konkretnym bloku, choć z dużym prawdopodobieństwem pojawi się przynajmniej jeden, który spróbuje się jako taki właśnie byt przedstawić. Dojdzie raczej do tego, że socjotechnicy spojrzą na aspirujących obywateli „nowej Ukrainy” jako na elektorat, który spróbują rozszarpać, krusząc go po liniach wewnętrznego podziału, czy to ideologicznego, czy światopoglądowego. Wyborcy ci są obecnie enigmatyczną siłą, nie wyłaniają się jasno z sondaży, a jednak istnieją i czekają, by wyjść z ukrycia. Wie o tym otoczenie Zełenskigo – pozbycie się Fedorowa można było odbierać jako chęć zapobieżenia procesowi wyrastania przezeń na głos „nowej Ukrainy”. Co prawda, osiągnięto w ten sposób efekt odwrotny od zamierzonego, ale zawsze zostają jeszcze stare, sprawdzone metody w rodzaju wyciągania brudów, czy kompromitowania rywala. Albo zastraszenia go, by wycofał się z kampanii, ewentualnie przeciągnięcia go na swoją stronę, skuszenia lukratywną pozycją. Tak można było odebrać wciągnięcie apolitycznego wcześniej, a dość popularnego Kyryła Budanowa do obozu prezydenckiego. Pojawiają się również głosy, że analogicznego manewru próbowano z innym ambasadorem, Walerijem

Załużnym – on jednak miał nie zgodzić się na współpracę.

Zełenski, jeżeli myśli o reelekcji, bądź zabezpieczeniu się umieszczeniem w swoim fotelu desygnowanego następcy (nie-wykluczone, że Budanowa) wie, że jedną z grup, do których musi celować z przekazem, są właśnie ci aspirujący do „nowej Ukrainy”. Na razie czyni w ich kierunku serię ukłonów, vide wskazanie na ministra obrony Jewhenija Chmary, czy przede wszystkim wymiana Syrskiego na Drapatego. Płacze się w tym szaleńczym tańcu, w którym ma równocześnie zadowalać umiarkowanych, nacjonalistów (zapewne stąd pomysł z panteonem narodowym, a przy okazji rozsiedlanie Polaków) i dotychczasowych zwolenników, którzy – jak pokazują badania opinii publicznej – nie-ubłagane odpływają do innych, potencjalnych kontrkandydatów, ze szczególnym wskazaniem na pewnego generała przebywającego w Zjednoczonym Królestwie.

Niezależnie od tego, co wykaże śledztwo, Stefaniszyna Zełenskigo nie zatopi. Jest bardziej kolejnym zgrzytem w maszynie, która porusza się coraz mniej płynnie. A widać to nie tylko na krajowym podwórku, lecz również w relacjach międzypaństwowych.

Prisztina, stolica Kosowa, państwa jedynie częściowo uznanego. Na obszarze poradzieckim na taki ruch zdecydowały się wyłącznie Estonia, Litwa i Łotwa, poza nim, jednomyślności nie ma nawet w obrębie Unii Europejskiej (wyłamują się między innymi Hiszpania, Słowacja i Grecja). Znaczna część świata stoi na stanowisku, że kraj ten jest integralną częścią Serbii. To właśnie do niej udał się Wołodmyr Zełenski na oficjalną wizytę państwową, pierwszą za swojej prezydentury. Przywitał go miejscowy odpowiednik, Aleksandar Vučić, starający się balansować między prorosyjskimi sympatiami a nominalnym kursem proeuropejskim (z wizją akcesji do Unii Europejskiej). Serbski przywódca potrafił tym samym gościć wizyty w ostrzelwanej przez Rosjan Odessie plus deklaracje wsparcia dla ukraińskiej integralności terytorialnej (czerwiec 2025) i odrzucanie zaproszeń Putina na szczyt BRICS (wrzesień 2024) z odmową udziału w nakładanych na Kreml sankcjach, czy publicznymi przeprosinami za „błędne” zagłosowanie za rezolucją Zgromadzenia Ogólnego ONZ nazywającą działania Rosji wobec Ukrainy po imieniu, agresją.

Vučić ma w tym określony cel – czerpanie korzyści z relacji z każdą ze stron geopolitycznego konfliktu. To nie jest jawnie działający na szkodę Kijowa Orbán, tylko ktoś, kto pomimo umizgów pod adresem Moskwy angażuje się w sprzedaż Ukrainie kluczowej dla utrzymania jej wysiłku zbrojnego amunicji. Relacje z Belgradem są zatem dla Zełenskigo istotne, co rozumie się też w patrzącej na Serbię jako na główne wyzwanie i zagrożenie Prisztinie, która jawnie zadeklarowała się po stronie Ukrainy. Każda wyrozumiałość ma jednak swoje granice, a te Zełenski przekroczył podpuszczony przez Vučića do złożenia otwartej deklaracji w sprawie Kosowa. Zamiast powiedzieć coś wymijającego, posłużył się językiem depczącym – nieuznaną przez Kijów de iure – suwerenność Prisztiny. Nic więc dziwnego, że reakcją było to, co Zełenski dawał już wcześniej odczuć Polakom: rozczarowanie i wściekłość.

Kwestie takie, jak nieuznanie dążeń do odłączania się od państwa ich terytoriów są dla niektórych państw szczególnie wrażliwe. Widzimy to na przykładzie ChRL, niezgodnie z prawdą przedstawiającej Republikę Chińską na Tajwanie jako swoją „zbuntowaną prowincję”, ale też Ukrainy, która z prawdziwym separatyzmem (choć i inspirowanym

i organizowanym z zewnątrz) ma do czynienia. Odłączanie się samowolnych „republik ludowych” w Donbasie oraz ich paroletnie funkcjonowanie wobec braku fizyczno-politycznych środków nacisku na likwidację, jasno nakreśliły paradygmaty ukraińskiej polityki zagranicznej.

Ta realizuje je konsekwentnie, chociażby oznaczało to poparcie azerskich racji w konflikcie wokół Górskiego Karabachu. Z perspektywy prawa międzynarodowego sytuacja wydaje się klarowna – oto zbyt słabe państwo nie jest w stanie zapobiec powstaniu w swoich granicach samowolnego bytu, wspieranego przez połączonego etnosem z odrywającym się regionem sąsiada. Kiedy jednak uwzględnimy, że autorytarne Baku, zaraz po tym, jak odzyskało zbrojnie kontrolę nad zbuntowaną prowincją, stało się sprawcą czystki etnicznej poprzez ekspulsję rdzennej ludności ormiańskiej, może okazać się, że kwestia nie jest tak jednoznaczna moralnie.

Łatwo jest wzruszyć ramionami i ograniczyć się do stwierdzenia, że polityka jest już taka bezwzględna. I może faktycznie, kierowanie się wyłącznie litością i sentymentami donikąd nie zaprowadzi, ale też twarda gra, oparta na naliczeniu się z nikim i z niczym może przynosić skutki odwrotne do zamierzonych.

Podobnie jak sprawa Stefaniszyny, belgradzkie faux pas Zełenskigo nie będzie stanowić punktu zwrotnego w dziejach polityki zagranicznej Kijowa. Implikacjami były, jak dotąd, wybuch niezadowolenia w Kosowie i przylegającej do niego Albanii oraz jakże symboliczny gest usunięcia w Prisztinie olbrzymiej flagi napadniętego kraju z przestrzeni miejskiej. Długofalowo możemy spodziewać się pewnego, choć raczej nie decydującego, zachwiania sympatii do ofiary największej konwencjonalnej wojny Europy po roku 1945. Sęk w tym, że nie jest to precedens, a zdarzenie, które ma więcej wspólnego z kontrowersyjnymi działaniami strony ukraińskiej względem Polski, niż by się mogło wydawać.

Obawy budzi wybijająca z zachowań administracji przy Bankowej przedmiotowość, z jaką traktuje ona – zwłaszcza pomniejsze – przyjazne jej siły, a szerzej partnerów. Nie chodzi o to, by przesądzać, czy faktycznie tak jest, a Zełenski i jego ludzie kierują się logiką „skoro udało się porozmawiać z A jak równy z równym, nie musimy się już ogłądać na słabsze i mniej znaczące B”. Liczy się to, że tak właśnie odebrano w Polsce wiele z nieprzyjaznych działań Kijowa: „najpierw zależało im na naszej przychylności, a teraz, gdy układają się już z Amerykanami, co my ich niby obchodzimy?”. Wydaje się też, że podobnie odczytali ostatnią wypowiedź prezydenta Ukrainy mieszkańcy Kosowa: „czyli my możemy stać za nimi murem, ale jak już się uda dogadać z silniejszą od nas Serbią, to przestajemy mieć jakiegokolwiek znaczenie?”.

Łaska pańska na pstrym koniu jeździ. Zrozumiałym jest, że Zełenski chce grać w wielką politykę, rozdawać karty oraz zapewniać sobie i Ukrainie silną pozycję. Niestety, wyraźnie zapomina przy tym uwzględniać interesy pomniejszych – względem najpotężniejszych graczy – podmiotów. Te często stoją za Ukrainą szczerze i trwale, warto więc byłoby spojrzeć na przychylnych sobie nie jak na zasób do wykorzystania, a na zaplecze, o które należy dbać. Ponadto zawsze warto mieć za sobą dodatkowy głos, czy to na forum ONZ, czy nawet internetowym.

Naturalnie, można grać twardo, wiecznie idąc na zderzenia czołowe. Tyle że nie jest to najlepsza z możliwych metod na bieg długodystansowy, a już na pewno nie zapewni sympatii zewnętrznych obserwatorów. Zełenski ryzykuje, że jego kibice, nawet jeżeli nie przestaną go wspierać, to zaczną liczyć na rychłe przekazania pałeczki następnemu zawodnikowi.

Polskie Termopile w cieniu wojny

W Zadwórzcu uczczono obrońców z 1920 roku

dokończenie ze strony 1

ARTUR ŻAK
TEKST
ALEKSANDER KUŚNIERZ
ZDJĘCIE

Na polskim cmentarzu wojennym w Zadwórzcu sierpniowy wiatr porusza białoczerwonymi wstęgami na wieńcach. Wokół rozciąga się typowy krajobraz ziemi lwowskiej: pofałdowane pola, linia kolejowa i samotny, stromy kurhan wznoszący się nad mogiłą obrońców. 15 sierpnia 2026 roku, w dniu Święta Wojska Polskiego, to miejsce znów stało się punktem spotkania ludzi, dla których pamięć nie jest abstrakcyjnym pojęciem, lecz konkretnym zobowiązaniem.

Obchody, zorganizowane przez Polskie Towarzystwo Opieki nad Grobami Wojskowymi we Lwowie przy wsparciu Konsulatu Generalnego RP we Lwowie, rozpoczęła Msza święta w intencji poległych. Po modlitwie uczestnicy złożyli wieńce i zapalili znicze na szczycie kurhanu. W uroczystości wzięli udział m.in.: chargé d'affaires ad interim RP w Kijowie Piotr Łukasiewicz, zastępcy attaché obrony przy Ambasadzie RP w Kijowie ppłk Wojciech Gawlik i ppłk Maciej Tracz, dyplomaci i pracownicy Konsulatu Generalnego RP we Lwowie, samorządowcy z Polski oraz przedstawiciele ukraińskiej administracji.

Obecność polskich i ukraińskich urzędników oraz wojskowych miała charakter wyważony i pozbawiony zbędnego ceremoniału. Wojna, która od ponad czterech lat toczy się na Ukrainie, narzuca powściągliwość. Skromniejsza niż w czasach pokoju oprawa nie umniejszała jednak wagi obchodów rocznicy. Zakończyła je wspólna modlitwa ekumeniczna oraz odśpiewanie hymnów państwowych.

Zadwórzcu zapisało się w polskiej pamięci zbiorowej jako „polskie Termopile”. 17 sierpnia 1920 roku polski batalion złożony w dużej mierze ze lwowskiej młodzieży, ochotników pod dowództwem kpt. Bolesława Zajączkowskiego – liczący około 330 żołnierzy – stanął na drodze nacierającej na Lwów 1. Armii Konnej Siemiona Budionnego.

Dysproporcja sił była miazdząca. Przez kilkanaście godzin polscy obrońcy odpierali kolejne szarże bolszewickiej kawalerii, zmuszając przeciwnika do uciążliwych walk spiesznej jazdy i marnowania cennego czasu. Z 330 żołnierzy poległo 318. Większość została zmasakrowana przez kozaków Budionnego, a kpt. Zajączkowski wraz z grupą ostatnich oficerów odebrał sobie życie, by nie wpaść w ręce wroga. Choć bój zakończył się fizyczną zagładą oddziału, przyniósł fundamentalny



sukces operacyjny: marsz Armii Konnej na Lwów został opóźniony, miasto zyskało czas na przygotowanie obrony, a Budionny nie zdołał na czas połączyć się z siłami Tuchaczewskiego uderzającymi na Warszawę.

Do konieczności odrzucenia uproszczeń i spojrzenia na bój pod Zadwórzem z perspektywy rzemiosła wojskowego odniósł się Piotr Łukasiewicz, Chargé d'affaires a.i. RP w Kijowie.

Przede wszystkim ważne jest poznanie szczegółów tego, co się wydarzyło 17 sierpnia 1920 roku. Mamy często tendencję do upraszczania historii, do mówienia wyłącznie o symbolach. Jesteśmy w miejscu nazywanym polskimi Termopilami, gdzie około trzystu żołnierzy powstrzymało oddziały bolszewickie, głównie armię konną Budionnego. Niezwykle ciekawe jest bycie tutaj, na miejscu i poznanie szczegółów taktycznych: zrozumienie, jakiego heroizmu, ale też jakiej myśli wojskowej i organizacji wymagało to starcie. Ci ludzie w większości zginęli, ale dzięki temu taktycznemu sukcesowi udało się opóźnić marsz wojsk bolszewickich i uniemożliwić im połączenie dywizji. Właśnie te małe taktyczne sukcesy przełożyły się na wielkie zwycięstwo w Bitwie Warszawskiej – podkreślił szef polskiej placówki dyplomatycznej.

Chargé d'affaires zwrócił również uwagę na szerszy wymiar ówczesnej kampanii, w której istotną rolę odegrali ukraińscy sojusznicy Rzeczypospolitej.

Żyjemy w czasie, kiedy odkrywamy detale wojny polsko-bolszewickiej, w której ważną rolę odegrały również oddziały ukraińskie broniące południowo-wschodniej flanki odrodzonego państwa. Historia obrony Zamościa i wsparcia, jakiego oddziały ukraińskie pułkownika Marka Bezruczki udzieliły głównym siłom, przenika do naszej pamięci historycznej.

– Niedawno ukraiński historyk przekonywał mnie, że Cud nad Wisłą nie był żadnym cudem, lecz przejawem strategicznego geniuszu oficerów, żołnierzy i liderów. Warszawa przetrwała dzięki organizacji, logistyce i wywiadowi. Świadomość tych detali buduje również nasz obecny sojusz. Polska stoi przy Ukrainie i będzie stała do zwycięstwa, do sprawiedliwego pokoju i zakończenia bezprawnej rosyjskiej agresji – zaznaczył polski dyplomata.

Dla obecnych w Zadwórzcu polskich oficerów obchody 15 sierpnia miały wymiar służbowy i osobisty zarazem. Podczas gdy w Warszawie trwały centralne uroczystości i defilada, zastępcy attaché obrony przy Ambasadzie RP w Kijowie pełnili wartość pamięci na cmentarzu wojennym pod Lwowem.

W ten sposób, jako oficerowie Wojska Polskiego, świętujemy nasze święto. Oddajemy hołd bohaterom tutaj, w Zadwórzcu, tak jak nasi koledzy świętują w Warszawie – mówił ppłk Maciej Tracz. Wskazał również na zmianę optyki, jaka dokonała się po lutym 2022 roku: – Od 2022 roku musimy silniej podkreślać te czyny i pokazywać, jak ważne są obronność i bezpieczeństwo kraju oraz od czego one tak naprawdę zależą. Dlatego musimy tutaj być. Jesteśmy co roku

i na pewno będziemy – my albo nasi następcy.

Z kolei ppłk Wojciech Gawlik zwrócił uwagę na ponadczasowość żołnierskiej postawy:

– Należy uczcić ten heroiczny czyn. Jesteśmy w trudnych czasach i trzeba pokazywać dzisiejszym ludziom, młodzieży, jak ważne było tamto poświęcenie i jaki przyniosło efekt. To, czego dokonali obrońcy Zadwórzcu, powinno być stale przypominane.

Uroczystość rocznicowa to zaledwie kilka godzin w roku. Aby w Zadwórzcu mogły zapłonąć znicze, a oficjalne delegacje złożyć wieńce, potrzebna jest systematyczna praca, o której rzadko pisze się w oficjalnych komunikatach. Kurhan i otaczający go cmentarz, zepchnięte w niepamięć i zdezastrowane w czasach Związku Sowieckiego, zostały odzyskane i uporządkowane w latach 90. XX wieku dzięki determinacji lwowskich Polaków skupionych w Polskim Towarzystwie Opieki nad Grobami Wojskowymi.

Obecny stan miejsca to efekt dekad fizycznego wysiłku. Jerzy Mironowicz, pełniący obowiązki prezesa Towarzystwa, doskonale pamięta realia tamtych prac:

– Pamiętam jeszcze z 2008 roku, jak przyjeżdżano tutaj na porządkowanie, bo nie było stałego opiekuna. Gdy nie było samochodu, brało się cały sprzęt do pociągu, a potem ze stacji kolejowej szło się pieszo. Ekipa liczyła ponad dziesięć osób. Przyjeżdżali, kosili kopiec i cały teren wokół. W okresie letnim starano się wyjeżdżać co miesiąc. Starsi członkowie naszego Towarzystwa, którzy dziś mają grubo ponad osiemdziesiąt lat, zostawiali tu na noclegi. Murowali, betonowali, zabezpieczali groby – wspomina Mironowicz.

Dziś w Zadwórzcu na stałe pracuje jeden miejscowy opiekun opłacany przez stronę polską, który na bieżąco lata ubytki i dogląda terenu, a członkowie Towarzystwa dojeżdżają w razie większych robót. Problem leży jednak gdzie

indziej. Polskie Towarzystwo Opieki nad Grobami Wojskowymi ma pod swoją pieczęć kilkanaście kwater na Cmentarzu Obrońców Lwowa, kwatery powstańców styczniowych i listopadowych na Łyczakowie oraz liczne mogiły wokół Lwowa – m.in. żołnierzy z września 1939 roku w Malechowie, na Zboiskach, Hołosku czy w Jańskich.

– Członków jest teraz coraz mniej. Starsi odchodzą, a młodzież nie garnie się do pracy. Zostało nas około trzydziestu dwóch – przyznaje bez upiększeń Jerzy Mironowicz.

W utrzymanie polskich miejsc pamięci włączają się również środowiska z Polski. Od czternastu lat na te tereny przyjeżdżają motocykliści ze Stowarzyszenia Wołyński Rajd Motocyklowy.

– Byliśmy w Łopatynie, Busku, Krzemieńcu i Komnatce. Nie tylko bierzemy udział w uroczystościach, ale przede wszystkim porządkujemy cmentarze. Przyjeżdżamy tu pomimo wojny – mówił prezes stowarzyszenia Henryk Kozak. Zaznaczył, że działalność grupy obejmuje także pomoc humanitarną dla rejonów dotkniętych bezpośrednimi działaniami zbrojnymi, m.in. w obwodzie chersońskim, oraz akcje edukacyjne w polskich szkołach, m.in. zbiórkę Kresowej Paczki.

Na zadwórzczanskim wzgórzu obok przedstawicieli władz i żołnierzy w mundurach stali mieszkańcy Lwowa, dla których obecność przy mogiłach polskich Bohaterów jest naturalnym elementem tożsamości. Danuta Greszczuk-Kaczyńska, Polka ze Lwowa, przyjechała do Zadwórzcu wraz z córkami. Pamięta to miejsce jeszcze z początku lat 90., kiedy jako nastolatka stawiała tu pierwsze kroki w odradzającym się polskim harcerstwie:

– Pierwszy raz przyjechałam tutaj jako harcerka w 1993 albo 1994 roku. Pełniłam wtedy wartość honorową przy tej mogiłę. Pamięć o tym miejscu przekazali mi dziadkowie i rodzice, a teraz przyjeżdżam ze swoimi dziećmi. One nie traktują tego jak przymusu. Wiedzą, że to święto narodowe, same dopytują o historię. A kiedy idziemy na Cmentarz Obrońców Lwowa, po prostu mówią: „Mama, idziemy do naszych”.

Te cztery słowa: „Mama, idziemy do naszych”, najcelniej podsumowują sens zadwórzczanskich obchodów. Za dyplomatycznymi formułami, wieńcami i analizami wojskowymi kryje się najprostszy ludzki obowiązek: pamięć przekazywana z pokolenia na pokolenie, która trwa tak długo, jak długo ktoś chce wsiąść w podmiejski pociąg, wziąć do ręki kosę i wejść na stromy kurhan pośród lwowskich pól.

19 lat razem z Czytelnikami

W sierpniu mija 19 lat od ukazania się pierwszego numeru „Kuriera Galicyjskiego”. Przez ten czas zmieniała się Ukraina, zmieniały się warunki pracy dziennikarzy i zmieniała się sytuacja Polaków. Nie zmieniła się jednak potrzeba, dla której powstała nasza gazeta – obecności polskiego słowa na Ukrainie.

Przez 19 lat „Nowy Kurier Galicyjski” stał się czymś więcej niż gazetą. Jest źródłem informacji dla Polaków mieszkających na Ukrainie, miejscem opisywania ich codziennego życia, działalności organizacji, szkół i środowisk polskich. Przypominamy również o polskiej historii, kulturze i dziedzictwie, które przez wieki kształtowały tę część Europy.

Ważne miejsce na łamach „Nowego Kuriera Galicyjskiego” zajmują stosunki polsko-ukraińskie. Piszemy o współpracy obu państw, wspólnej historii, kulturze i pamięci historycznej, ale także o problemach i wyzwaniach, które czasami dzielą Polaków i Ukraińców. Staramy się mówić o tych kwestiach w sposób odpowiedzialny, szukając przede wszystkim tego, co oba narody łączy. Szczęólnego znaczenia nabrało to po rozpoczęciu



rosyjskiej pełnoskalowej agresji na Ukrainę, kiedy relacje polsko-ukraińskie stały się niezwykle ważne dla bezpieczeństwa i przyszłości obu państw.

Dziś, w czasie wojny, znaczenie polskiego słowa jest jeszcze większe. Wojna zmieniła życie milionów ludzi, a wielu Polaków na Ukrainie znalazło się w szczególnie trudnej sytuacji. W takich warunkach własny język, dostęp do wiarygodnej informacji i możliwość kontaktu z polską społecznością nabierają szczególnego znaczenia. „Nowy Kurier Galicyjski” stara się tę przestrzeń zachować.

Nasza działalność jest finansowana ze środków Senatu Rzeczypospolitej Polskiej za

pośrednictwem Fundacji „Wolność i Demokracja”. Bez tego wsparcia prowadzenie polskojęzycznej gazety na Ukrainie byłoby niezwykle trudne. Dlatego tak poważnym problemem są ograniczenia i niepewność dotyczące finansowania działalności polskich mediów na Ukrainie.

Dla nas, działających nieprzerwanie w warunkach wojny, może to oznaczać realne zagrożenie dla ciągłości wydawania pisma. A wraz z gazetą zagrożone byłoby coś znacznie ważniejszego niż samo wydawnictwo – obecność polskiego słowa na Ukrainie.

Gazeta jest bowiem nie tylko zbiorem artykułów. Jest

świadectwem obecności Polaków na Ukrainie, dokumentuje ich życie i pozwala kolejnym pokoleniom zachować język, pamięć oraz więź z polską kulturą. Jest również miejscem dialogu i wzajemnego poznawania się Polaków i Ukraińców. Tego nie da się łatwo odbudować, jeśli raz zostanie utracone.

Przez 19 lat „Nowy Kurier Galicyjski” zmieniał się wraz z Czytelnikami. Z papierowego dwutygodnika rozwinął się w grupę medialną, obejmującą dziś gazetę, portal internetowy, radio i telewizję. Powstały także „Polak Mały”, Studio Filmowe oraz Biblioteka Kuriera Galicyjskiego. Wszystkie te

przedsięwzięcia mają jeden cel – być blisko ludzi, dokumentować ich historie i dbać o obecność polskiej kultury i języka.

19 lat „Kuriera Galicyjskiego” to powód do dumy, ale także zobowiązanie na przyszłość. Chcemy nadal być gazetą Polaków na Ukrainie, nadal pisać o ich sprawach, relacjach polsko-ukraińskich i wspólnej przyszłości. Chcemy nadal tworzyć przestrzeń, w której polskie słowo będzie obecne, słyszane i czytane.

Sześć lat temu odszedł Mirosław Rowicki, założyciel i wieloletni redaktor naczelny „Kuriera Galicyjskiego”. Pozostawił po sobie nie tylko gazetę, ale przede wszystkim ideę, którą staramy się kontynuować. Wierzimy, że jego dzieło ma nadal ogromne znaczenie i że „Nowy Kurier Galicyjski” powinien pozostać ważnym miejscem dla polskiej społeczności na Ukrainie oraz przestrzenią dialogu polsko-ukraińskiego.

Dziś, z okazji 19-lecia, chcemy przede wszystkim powiedzieć: dziękujemy. Naszym Czytelnikom, przyjaciółom, współpracownikom i sympatykom. Dziękujemy za zaufanie, dobre słowa, uwagi i za to, że przez wszystkie te lata jesteście z nami.

19 lat razem z Czytelnikami. I mamy nadzieję, że jeszcze wiele wspólnych lat przed nami.

Do zobaczenia w kolejnym numerze.

ZESPÓŁ REDAKCYJNY
„NOWEGO KURIERA GALICYJSKIEGO”

Polsko-Ukraiński Wieczór Przyjaźni i Jedności w Nahaczowie

„Łączy nas historia, a współpraca czyni nas silniejszymi!” – pod takim hasłem wieczorem 15 sierpnia w przygranicznym Nahaczowie w obwodzie lwowskim odbył się Polsko-Ukraiński Wieczór Przyjaźni i Jedności. Wydarzenie zorganizowano z okazji pierwszej rocznicy działalności tamtejszego Centrum Integracji dla Polaków w Ukrainie oraz 106. rocznicy Bitwy Warszawskiej – jednej z ważnych kart wspólnej historii Polski i Ukrainy, gdy żołnierze obu narodów walczyli ramie w ramie przeciwko bolszewickiej ofensywie.

TEKST I ZDJĘCIA
KONSTANTY CZAWAGA

– Chcieliśmy w tym dniu zrobić coś wyjątkowego – spotkać się po drugiej stronie granicy, w Nahaczowie w obwodzie lwowskim i wspólnie zagrać Koncert Przyjaźni – powiedział „Kurierowi” Marcin Piotrowski, społecznik z województwa podkarpackiego, pomysłodawca i główny organizator wydarzenia. – Razem z naszymi przyjaciółmi z ukraińskiego zespołu Joryj Kłoc zaprosiliśmy polskich artystów, muzyków i ludzi kultury



do wspólnego wyjazdu do Ukrainy. Wierzymy, że kultura potrafi budować mosty tam, gdzie inni widzą granice. Wspólne śpiewanie, granie i spotkanie mają dziś ogromne znaczenie. Dziś wieczorem w parku w Nahaczowie pokazaliśmy, że polsko-ukraińska współpraca to nie tylko historia, ale także teraźniejszość i wspólna przyszłość.

– Jesteśmy zespołem, który od lat utrzymuje bliskie relacje z naszymi

polskimi braćmi – powiedział Anton Lubij, lider i założyciel lwowskiego zespołu Joryj Kłoc. – Pomimo tak trudnego czasu dla Ukrainy wraz z naszymi polskimi przyjaciółmi nadal utrzymujemy bliskie i owocne kontakty. Wciąż poszukujemy tego, co łączy nasze narody, a dzisiejszy koncert jest ważnym wydarzeniem, które tę jedność potwierdza. Niedawno, w lipcu, uczestniczyliśmy także w Festiwalu Folkowisko w Gorajcu. Teraz nasi

muzycy są w wojsku. Zespół przekształcił się w tzw. „przyfrontową watahę” pod nazwą Wołn Kłoc.

Podczas koncertu muzycy zaprezentowali „muzykę z okopów”. W tym tygodniu wydali również najnowszy teledysk, nagrany telefonami komórkowymi na Donbasie – „Kołomyjka ZSU”.

Z Rzeszowa przyjechała młoda pieśniarka Nadia Lasota. Ukraiński kobziarz i żołnierz Anatolij Szmitko zagrał na

torbanie – dawnym szarpanym instrumencie strunowym, łączącym cechy niemieckiej lutni, torby oraz ukraińskiej bandury. Swoją twórczość zaprezentowały również lokalne amatorskie zespoły artystyczne.

Podczas wydarzenia odbyła się także zbiórka charytatywna na zakup paliwa i naprawę samochodu dla ukraińskich żołnierzy.

– To był wieczór o naszej wspólnej historii, przyjaźni, wzajemnym wsparciu i dobrym sąsiedztwie. Ponieważ razem jesteśmy silniejsi – zaznaczyła Marianna Iwanowycz, kierowniczka Centrum Integracji dla Polaków w Ukrainie.

Rok temu w przygranicznym Nahaczowie otwarto Centrum Integracji dla Polaków w Ukrainie oraz odsłonięto tablicę poświęconą bohaterom Bitwy Warszawskiej i polsko-ukraińskiemu braterstwu. W miejscowości funkcjonuje również Centrum Edukacji Transgranicznej.

Współorganizatorami Polsko-Ukraińskiego Wieczoru Przyjaźni i Jedności były Stowarzyszenie Folkowisko, Fundacja Humanitarna Folkowisko, Stowarzyszenie Folkowisko. UA, Centrum Integracji dla Polaków w Ukrainie w Nahaczowie oraz Jaworowska Rada Miejska.

Więcej o tym wydarzeniu w kolejnym numerze Kuriera.

Przegląd prasy polskiej na Ukrainie



OPRACOWAŁ
KRZYSZTOF SZYMAŃSKI

Posiedzenie Polonijnej Rady Konsultacyjnej przy marszałek Senatu RP

W Warszawie odbyło się robocze spotkanie online Polonijnej Rady Konsultacyjnej przy marszałek Senatu RP Małgorzacie Kidawie-Błońskiej. W spotkaniu uczestniczyli przedstawiciele środowisk polonijnych z różnych krajów świata, którzy przedstawili aktualne wyzwania oraz potrzeby swoich społeczności.

Głównym tematem rozmów były przygotowania do październikowego posiedzenia Polonijnej Rady Konsultacyjnej, któremu towarzyszyć będzie exposé ministra Spraw Zagranicznych RP Radosława Sikorskiego poświęcone polityce wobec Polonii i Polaków za granicą. Omówiono również kierunki dalszej współpracy oraz inicjatywy istotne dla środowisk polonijnych. Jednym z poruszanych tematów była także organizacja tegorocznej edycji Polonia Camp.

W imieniu Polaków Ukrainy głos zabrała prezes Zarządu Głównego Związku Polaków Ukrainy Lesia Jermak, która przedstawiła aktualną sytuację polskiej społeczności w Ukrainie. W swoim wystąpieniu podkreśliła, że pomimo trwającej wojny oraz wyzwań wynikających z obecnej sytuacji w relacjach polsko-ukraińskich, polskie organizacje Ukrainy niezmiennie prowadzą działalność statutową, realizując zadania na rzecz zachowania języka polskiego, kultury, tradycji oraz integracji środowiska polskiego.

Prezes Związku Polaków Ukrainy podkreśliła, że działalność organizacji polskich ma dziś szczególne znaczenie dla osób żyjących w warunkach wojny, stanowiąc ważny element podtrzymywania więzi społecznych, tożsamości narodowej i wzajemnej solidarności.

Spotkanie było kolejną okazją do wymiany doświadczeń oraz przedstawienia najważniejszych zagadnień dotyczących funkcjonowania środowisk polskich, a także potwierdziło znaczenie stałego dialogu pomiędzy przedstawicielami polskich organizacji Ukrainy a instytucjami Rzeczypospolitej Polskiej.

KAROLINA MILENA JERMAK
DZIENNIK KIJOWSKI

Polonia Camp 2026 – młoda Polonia buduje mosty ponad granicami

Warszawa w lipcu 2026 roku stała się miejscem wyjątkowego spotkania młodej Polonii z całego świata. Blisko 1500 uczestników z niemal 50 krajów przyjechało do stolicy Polski, aby wziąć udział w Polonia Camp 2026 – Światowym Spotkaniu Młodej Polonii. Wśród nich znaleźli się również przedstawiciele Sektora M Związku Polaków Ukrainy. Kilka dni wypełnionych debatami, warsztatami, spotkaniami z przedstawicielami instytucji państwowych, wydarzeniami

kulturalnymi oraz rozmowami o przyszłości Polonii stało się nie tylko okazją do zdobywania wiedzy, lecz przede wszystkim do budowania relacji i poczucia wspólnoty.

Polonia rozsiana po całym świecie jest niezwykle różnorodna. Żyje w odmiennych realiach, mierzy się z różnymi wyzwaniami i funkcjonuje w różnych środowiskach. Łączą ją jednak coś znacznie ważniejszego niż geografia – więź z Polską, językiem, kulturą i historią oraz przekonanie, że polskość można pielęgnować niezależnie od miejsca zamieszkania.

To właśnie tę różnorodność można było dostrzec podczas Polonia Camp. Młodzi ludzie z Europy, obu Ameryk, Azji, Australii i Afryki przyjechali do Warszawy ze swoimi historiami i doświadczeniami. Dla wielu z nich było to pierwsze spotkanie z rówieśnikami, którzy – podobnie jak oni – wychowali się poza granicami Polski. Szybko okazało się jednak, że mimo różnych języków codzienności, odmiennych systemów edukacji czy kultur wszyscy doskonale rozumieją, jak ważne jest zachowanie własnych korzeni i budowanie więzi z krajem przodków.

– Największą wartością tego spotkania byli ludzie – mówi Dominika Jermak. – Przyjechalismi reprezentować naszą organizację, ale wyjeżdżamy z poczuciem, że jesteśmy częścią ogromnej światowej rodziny. Rozmowy z młodymi Polakami z różnych kontynentów pokazały mi, że wszyscy mamy podobne marzenia i chcemy działać na rzecz naszych środowisk.

Program Polonia Camp pokazał również Polskę jako miejsce możliwości – edukacyjnych, zawodowych i społecznych. Uczestnicy mogli zapoznać się z ofertą uczelni, instytucji publicznych oraz organizacji wspierających młodych Polaków mieszkających poza granicami kraju. Dla wielu osób było to pierwsze tak szerokie spotkanie z nowoczesną Polską i okazją do zastanowienia się nad swoją przyszłością. Organizatorzy podkreślali, że nie chodzi o podejmowanie natychmiastowych decyzji, lecz o pokazanie, że Polska może być miejscem studiów, pracy i rozwoju. Co istotne, doświadczenia poprzedniej edycji pokazują, że część uczestników zdecydowała się po Polonia Camp rozpocząć studia lub związać swoją przyszłość zawodową z Polską.

Polonia Camp 2026 udowodnił, że młode pokolenie Polonii chce rozmawiać, współpracować i wspólnie tworzyć przyszłość. Potrzebuje przestrzeni do spotkań, wymiany doświadczeń oraz budowania międzynarodowych kontaktów. Takie inicjatywy pokazują, że polskość nie jest zamknięta w granicach państwa – żyje wszędzie tam, gdzie są ludzie gotowi ją pielęgnować i przekazywać kolejnym pokoleniom.

Dla mnien ten wyjazd był czymś więcej niż udziałem w międzynarodowym wydarzeniu. Był przypomnieniem, że niezależnie od tego, z jakiego kraju pochodzimy, wszyscy niesiemy ze sobą podobne

wartości i podobną odpowiedzialność za przyszłość naszych środowisk. Wracam z Warszawy z nowymi przyjaźniami, inspiracjami i przekonaniem, że głos młodej Polonii jest coraz lepiej słyszany. Mam nadzieję, że spotkania rozpoczęte podczas Polonia Camp będą miały swoją kontynuację we wspólnych projektach, wzajemnym wsparciu oraz dalszym budowaniu sieci współpracy młodych Polaków z całego świata. Bo właśnie podczas takich spotkań rodzi się przyszłość światowej Polonii.

KAROLINA MILENA JERMAK
DZIENNIK KIJOWSKI

Adolf Mostowski wraca do Chmielnika: historia jednego odkrycia

W Chmielniku, w Centrum „Mrowisko”, odbyło się wydarzenie, które okazało się czymś znacznie więcej niż tylko imprezą literacko-artystyczną. Była to próba przywrócenia pamięci o twórcy, który ponad sto lat temu mieszkał na ziemi chmielnickiej, pisał, zajmował się muzyką i pozostawił po sobie znaczące dziedzictwo kulturowe. Mowa o polskim poecie, dramaturgu, kompozytorze i kolekcjonerze Adolfie Mostowskim, którego sztuki wystawiano na scenach Warszawy i Krakowa, a grób znajduje się w Chmielniku.

Informacji o Adolfie Mostowskim i jego twórczości poszukiwało wiele osób. Kluczową rolę odegrała badaczka Olena Horobeć. To właśnie ona podjęła się pracy z polskimi archiwami, bibliotekami cyfrowymi i starodrukami.

Jednym z pierwszych ważnych odkryć był obszerny nekrolog opublikowany po śmierci Mostowskiego w 1904 roku. Pozwolił on zweryfikować wiele faktów biograficznych i potwierdził, że ostatnie lata życia pisarz spędził w Wielkim Mytniku, a pochowany został na jednym z cmentarzy miejskich w Chmielniku.

Stopniowo udało się odnaleźć: kilka tomików poezji Mostowskiego, jego utwory dramatyczne, noty biograficzne, archiwalne fotografie, korespondencje prywatną, utwory muzyczne, wzmianki prasowe o nim. Szczególnie cennym odkryciem były dwa autentyczne portrety fotograficzne pisarza. Do tej pory praktycznie nikt w Chmielniku nie wiedział, jak wyglądał Adolf Mostowski.

Jednym z najbardziej niezwykłych odkryć był utwór muzyczny zatytułowany „Mytnik Walc”. Został odnaleziony w Warszawskiej Bibliotece Cyfrowej. Sam fakt istnienia kompozycji poświęconej Wielkiemu Mytnikowi okazał się prawdziwą sensacją – która jeszcze wieś na Ukrainie może poszczycić się własnym walcem?

Mostowski przez długi czas mieszkał w Wielkim Mytniku, gdzie znajdował się majątek jego żony. To właśnie tam powstała część jego utworów, a także – najprawdopodobniej – ten walc, dedykowany teściowej autora. Według uczestników projektu muzyka okazała się niezwykle interesująca i ekspresyjna. Dlatego też postanowiono

wykonać walc podczas przedstawienia w „Mrowisku”.

Kulminacją wielomiesięcznej pracy była zorganizowana impreza, podczas której zaprezentowano wyniki badań o życiu Adolfa Mostowskiego oraz przedstawiono odnalezione materiały. Odbyła się również recytacja jego wierszy w wykonaniu Oleny Horobeć i Ludmiły Dozoreć przy akompaniamencie gitary. Szczególne miejsce zajęła jednak inscenizacja oparta na jednej z jego komedii zatytułowanej „Bezdzietni”. Dla wielu uczestników było zaskoczeniem, jak aktualne i dowcipne mogą być teksty napisane ponad sto lat temu. Ozdobą wydarzenia było wykonanie odnalezionego „Mytnik Walca”. Utwór, który przez ponad stulecie istniał jedynie na pożółkłych kartach nut, dzięki wykonaniu Olgi Byczok ponownie zabrzmiał na Podolu – tam, gdzie został skomponowany.

ALEKSY PAWLIUK
SŁOWO POLSKIE

Polski dyplomata z wizytą u Polaków w Romanowie

Podczas pogodnego czerwcowego weekendu Polacy z Romanowa w obw. żytomierskim przyjmowali gości honorowego – konsula generalnego RP w Winnicy, Mateusza Natkowskiego. Wizyta rozpoczęła się od odwiedzenia parafii pw. św. Stanisława, która funkcjonuje w Romanowie już od ponad 30 lat.

Proboszcz parafii ks. Ryszard Dziuba, oprowadził gości po świątyni, zwracając szczególną uwagę na tablice pamiątkowe poświęcone kompozytorowi i dyrygentowi Ignacemu Feliksowi Dobrzyńskiemu oraz hrabiemu Henrykowi Ilińskiemu. Dzięki staraniom proboszcza i parafian kościół w Romanowie jest nie tylko centrum religijnym, ale i miejscem o wyjątkowej estetyce – ogród wokół świątyni uchodzi za najpiękniejsze miejsce w całym miasteczku.

Następnie odbyła się wycieczka do miejscowego muzeum krajoznawczego, którą poprowadził jego dyrektor, Jurij Kondratiuk. Muzeum kryje unikatowe eksponaty związane z historią regionu, w tym z dziejami społeczności polskiej, która należy do najliczniejszych w Ukrainie.

Specjalnie dla gościa honorowego przygotowano wystawę fotograficzną, prezentującą historię powstania oraz wieloletnią działalność Romanowskiego Polskiego Kulturalno-Oświatowego Stowarzyszenia. Organizacja ta powstała w 2001 roku z inicjatywy Włodzimierza Balickiego. Obecnie na czele Stowarzyszenia stoi Olga Myczkowska. W tym pięknym dniu nie zabrakło również spotkania z członkami organizacji, które upłynęło w ciepłej, towarzyskiej atmosferze.

Wizyty konsulów RP w polskich ośrodkach pozostają dla naszego środowiska najważniejszym dowodem uznania dla naszej pracy społecznej oraz wielką motywacją do dalszych działań na rzecz pielęgnowania i rozwoju polskośći.

OLGA MYCZKOWSKA
SŁOWO POLSKIE

Konkurs „Pocztówka z wakacji”

Wspólny Sekretariat Programu Interreg NEXT Polska – Ukraina 2021–2027 zaprasza do udziału w konkursie „Pocztówka z wakacji”.

„Znasz wyjątkowe miejsce na obszarze Programu? A może podczas wakacyjnych podróży odkryłeś zakątek, który zachwycił Cię przyrodą, historią, kulturą lub lokalnymi tradycjami i warto go pokazać innym? Podziel się swoim odkryciem i weź udział w konkursie „Pocztówka z wakacji”. Na autorów

najciekawszych prac czekają atrakcyjne nagrody” – czytamy na stronie Wspólnego Sekretariatu Programu Interreg NEXT Polska – Ukraina 2021–2027.

Zadanie konkursowe polega na przygotowaniu pocztówki, korzystając z udostępnionego szablonu, do którego należy dodać:

- autorskie zdjęcie miejsca, obiektu znajdującego się na obszarze Programu Interreg NEXT Polska – Ukraina 2021–2027;
- krótką ciekawostkę rozpoczynającą się od słów „Czy wiesz, że...?”.

Obszar Programu Interreg NEXT Polska – Ukraina 2021–2027 obejmuje:

- Polska – województwa: podlaskie, mazowieckie (podregiony: ostrołęcki i siedlecki), lubelskie, podkarpackie;
- Ukraina – obwody: lwowski, wołyński, zakarpaci, rówieński, tarnopolski i iwanofrankiowski.

Konkurs skierowany jest do osób fizycznych, które ukończyły co najmniej 13 lat, bez względu na miejsce zamieszkania. Osoby, które nie ukończyły 18 lat, mogą wziąć udział w konkursie wyłącznie za zgodą rodzica lub opiekuna prawnego, obejmując udział w konkursie, przetwarzanie danych osobowych uczestnika oraz udzielenie zgody, o której mowa w ust. 11 Regulaminu Konkursu. Termin nadsyłania prac: do 30 września 2026 r.

Prace należy przysyłać, załączając przygotowany plik PDF do formularza zgłoszeniowego. Szczegółową instrukcję przygotowania pocztówki, jak również zasady konkursu i formularz zgłoszeniowy można znaleźć tu: pl-ua.eu

MONITOR WOŁYŃSKI

W Zdolbunowie jest modernizowany system kształcenia ślusarzy remontowych

Szkoła Zawodowa Transportu Kolejowego w Zdolbunowie znalazła się wśród pięciu zwycięzców konkursu grantowego „Wspieranie modernizacji kształcenia zawodowego na Ukrainie – 2026”. Poinformowało o tym Przedstawicielstwo Fundacji Solidarności Międzynarodowej w Ukrainie.

W ramach realizacji projektu grantowego „Modernizacja kształcenia zawodowego specjalistów w zawodzie „ślusarz remontowy” na potrzeby regionalnego rynku pracy” placówka rozpoczęła aktywny dialog z regionalnym biznesem.

Pierwszym praktycznym krokiem było zorganizowanie okrągłego stołu pt. „Modernizacja programu kształcenia w zawodzie „ślusarz remontowy” z udziałem pracodawców i ekspertów branżowych.

Głównym celem spotkania było wspólne z pracodawcami określenie kompetencji, których wymaga obecnie nowoczesna produkcja. Wyniki tego dialogu staną się podstawą aktualizacji programu kształcenia, co pozwoli na przygotowanie wysoko wykwalifikowanej kadry, która sprosta wyzwaniom przedsiębiorstw przemysłu przetwórczego oraz współczesnym potrzebom rynku pracy w obwodzie rówieńskim.

Konkurs grantowy jest realizowany w ramach inicjatywy Skills4Recovery finansowanej przez Unię Europejską, Federalne Ministerstwo Współpracy Gospodarczej i Rozwoju Niemiec (BMZ), Ministerstwo Spraw Zagranicznych Rzeczypospolitej Polskiej, Estońskie Centrum Rozwoju Międzynarodowego (ESTDEV) oraz Królestwo Danii. Wykonawcy projektu: Deutsche Gesellschaft für Internationale Zusammenarbeit oraz Przedstawicielstwo Fundacji Solidarności Międzynarodowej w Ukrainie.

MONITOR WOŁYŃSKI

IPN zakończył ekshumacje w Ostrówkach i Woli Ostrowieckiej

Instytut Pamięci Narodowej zakończył tegoroczne prace ekshumacyjne ofiar Zbrodni Wołyńskiej prowadzone na terenie dawnych polskich wsi Ostrówek i Wola Ostrowiecka na Wołyniu. W trakcie badań odnaleziono i ekshumowano szczątki 55 osób, w tym 26 dzieci. Zabezpieczono również ponad 300 przedmiotów osobistych, a od wydobytych szczątków pobrano materiał do badań genetycznych, które mają pomóc w identyfikacji ofiar.

Prace prowadzono od 13 lipca do 7 sierpnia 2026 roku. Uczestniczyli w nich specjaliści z Biura Poszukiwań i Identyfikacji IPN, przedsiębiorstwa „Wołyńskie Starożytności”, medyk sądowy z Uniwersytetu Medycznego we Wrocławiu oraz przedstawiciele Ministerstwa Kultury i Dziedzictwa Narodowego RP. Oględziny szczątków prowadzili wspólnie eksperci z Polski i Ukrainy.

Trzy miejsca ekshumacji

Badania przeprowadzono w trzech lokalizacjach wskazanych podczas kwietniowych prac poszukiwawczych: w zbiorowej mogile na terenie dawnego gospodarstwa Aleksandra Strażycy w Woli Ostrowieckiej, w zbiorowym dole śmierci w pobliżu dawnej szkoły w Ostrówkach oraz przy pojedynczym grobie znajdującym się w pobliżu cmentarza.

Największą mogiłę odkryto w Woli Ostrowieckiej. Wydobyto tam szczątki 48 osób,



w tym 24 dzieci, 17 kobiet i trzech mężczyzn. Ze względu na znaczny stopień zniszczenia kości nie udało się na razie określić płci czterech ofiar. Jak podkreślają antropolodzy, większość dzieci nie ukończyła 12. roku życia, a najmłodsze miały zaledwie kilka miesięcy.

W Ostrówkach odnaleziono natomiast pojedynczy grób kobiety oraz zbiorową mogiłę, w której spoczywały szczątki sześciu osób, w tym dwojga dzieci i dwóch kobiet.

Ślady brutalnych egzekucji

Według IPN przeprowadzone oględziny potwierdzają relacje świadków zbrodni z sierpnia 1943 roku. Na większości czaszek ujawniono obrażenia tylnej części głowy, odpowiadające opisom egzekucji dokonywanych przy użyciu narzędzi gospodarskich, m.in. młotów do uboju bydła.



W zbiorowej mogile w Ostrówkach specjaliści stwierdzili również rany postrzałowe na czaszkach oraz jednej kości udowej. Zdaniem IPN charakter obrażeń jest zgodny z relacjami ocalałych, jak i wynikami wcześniejszych badań sądowo-medycznych prowadzonych w tych miejscowościach.

Ponad 300 przedmiotów osobistych

Podczas prac odnaleziono ponad 300 przedmiotów związanych z ofiarami. Były to przede wszystkim medaliki, krzyżyki, różańce, elementy odzieży, guziki, klamry, paski i obuwie. Wszystkie znaleziska zostały zabezpieczone do dalszych badań.

Od każdej z odnalezionych ofiar pobrano również materiał kostny do badań DNA.

Nadal poszukiwanych jest około 300 osób

IPN przypomina, że Ostrówki i Wola Ostrowiecka zostały zaatakowane 30 sierpnia 1943 roku przez oddziały Ukraińskiej Powstańczej Armii przy współudziale części ukraińskich mieszkańców okolicznych miejscowości. Według ustaleń historyków zamordowano wówczas około 1050 polskich mieszkańców, a wieś została zrabowana i zniszczona.

Mimo tegorocznych badań miejsce pochówku około 300 ofiar nadal pozostaje nieznane. Poszukiwania prowadzone w kolejnych lokalizacjach tzw. Trupiego Pola nie przyniosły nowych odkryć.

Instytut Pamięci Narodowej poinformował również, że dotychczas uzyskał tylko jedną zgodę na prowadzenie prac ekshumacyjnych ofiar Zbrodni Wołyńskiej na terenie Ukrainy.

Pogrzeb w 83. rocznicę zbrodni

Uroczystości pogrzebowe odnalezionych ofiar zaplanowano na 30 sierpnia 2026 roku, w 83. rocznicę zbrodni. Szczątki zostaną pochowane w kwaterze ofiar UPA na cmentarzu w Ostrówkach.

Prace ekshumacyjne wzbudziły duże zainteresowanie mediów. Na miejscu obecni byli przedstawiciele 21 redakcji z Polski i zagranicą, w tym m.in. „The Wall Street Journal”, „Le Monde”, „Le Figaro”, Deutsche Welle, Arte oraz mediów czeskich i ukraińskich.

ŹRÓDŁO: NA PODSTAWIE IPN

Marsz we Lwowie: „Nie milcz! Niewola zabija!”

8 sierpnia w centrum Lwowa odbyła się kolejna pokojowa akcja „Nie milcz! Niewola zabija!”. Bliscy ukraińskich jeńców wojennych, zaginionych bez wieści obrońców oraz mieszkańcy miasta przeszli w marszu, aby przypomnieć społeczeństwu i społeczności międzynarodowej o ukraińskich żołnierzach przetrzymywanych w rosyjskiej niewoli.

TEKST I ZDJĘCIE
KONSTANTY CZAWAGA

Takie cotygodniowe wydarzenia odbywają się w mieście regularnie od grudnia 2023 roku, ponieważ według oficjalnych danych ukraińskich władz w niewoli wroga wciąż przebywa około 7 000 ukraińskich wojskowych.



Uczestnicy przeszli ulicą Ruską i Rynkiem obok ratusza, a zakończyli trasę na Alei Swobody przy pomniku Tarasa Szewczenki, gdzie odbył się wiec finałowy i wspólna modlitwa.

Podczas przemarszu kolumna skandowała hasła „Niewola zabija! Nie milcz!”, „Zwróćcie Bohaterów z niewoli!”, „Wolność dla obrońców Mariupola!” oraz „Free Azovstal Defenders!”. Kierując się do władz

i przechodniów, ludzie wołali „Państwo ma zwrócić Bohaterów!” i „Milczenie to zbrodnia!”, a na skrzyżowaniach prosili kierowców o wsparcie hasłem „Kierowco, poprzyj nas klaksonem!”.

Organizatorzy akcji – zrzeszenia rodzin obrońców – podkreślają, że podobne wydarzenia będą kontynuowane, dopóki każdy ukraiński żołnierz nie wróci do domu.

Ukraińskie drony zniszczyły kolejne centrum logistyczne Wildberries w Rosji

2 sierpnia ukraińskie drony zniszczyły kolejne centrum logistyczne w Rosji, należące do giganta handlu elektronicznego w tym kraju, Wildberries – powiadomiły w niedzielę media. Doszło do tego w Nowosiemiejkino w obwodzie samarskim w południowo-wschodniej części europejskiej Rosji. Seria ataków na obiekty rosyjskiego giganta e-commerce ograniczyła jego możliwości logistyczne o około 10 proc.

Ukraińska firma Fire Point przyznała się do użycia dronów FP-1 w atakach na magazyny Wildberries w Rosji. Firma twierdzi, że celem była infrastruktura wspierająca rosyjską gospodarkę i logistykę. Kijów twierdzi, że w magazynach znajdowały się towary podwójnego zastosowania wykorzystywane przez rosyjski przemysł zbrojeniowy. Moskwa odrzuca te zarzuty.

Według producenta firmy zbrojeniowej Fire Point celem był hub logistyczny w Nowosiemiejkino, który odpowiada za przechowywanie, sortowanie i dystrybucję towarów. Fire Point przekonuje, że uderzenia w tego typu obiekty mają zwiększać presję gospodarczą na Rosję i zakłócać działanie jej łańcuchów dostaw.

Magazyny Wildberries są celem ukraińskich ataków od połowy lipca. Uderzenia miały objąć obiekty firmy m.in. w obwodzie moskiewskim, tambowskim, woroneskim, penzeńskim, riazzańskim, a także w Krasnodarze i na okupowanym Krymie. Ukraińskie władze twierdzą, że ataki nie są wymierzone w cywilny handel, ale w obiekty wykorzystywane do wspierania rosyjskiej maszyny wojennej.

Prezydent Ukrainy Wołodymyr Zełenski – cytowany przez Radio Swoboda – przekonywał, że w magazynach Wildberries znajdowały się towary podwójnego zastosowania, w tym elektronika, sprzęt nawigacyjny i komponenty wykorzystywane przy produkcji dronów oraz przez rosyjski przemysł obronny.

ŹRÓDŁO: PAP

Przybliżamy Mikołaja Reja

Mikołaj Rej – postać niezasłużenie pozbawiona tytułu „ojca literatury polskiej” przez Jana Kochanowskiego. Pomimo, że ten ostatni urodził się 25 lat po Reju. To on pierwszy jednak napisał językiem potocznym: „A niechaj narodowie wżdy postronni znają, iż Polacy nie gęsi, iż swój język mają”.

TEKST I ZDJĘCIA
KRZYSZTOF SZYMAŃSKI

Tak pisał w języku, jaki słyszał od dzieciństwa, jakim rozmawiano na targach, w dworach, u rzemieślników – na dworach bowiem magnackich wszechwładnie panowała łacina. Nawet przez jego przydomek – z Nagłowic – znieśławiono miejsce jego urodzenia. Urodził się bowiem w naszym Żurawnie koło Żydaczowa. Tu praktycznie wzrastał przez 18 lat i tu rozmawiał w tym języku, który go otaczał i w którym zaczął pisać. Słynne Nagłowice – to już efekt późniejszych rodzinnych zawirowań majątkowych. Ale taka sytuacja wydaje się zrozumiała: jakże by w katolickiej Polsce można było protestanta uznać za „ojca literatury”, pomimo, że po polsku pisał i tłumaczył psalmy i Pismo Święte. Ale to tak w skrócie...

Aby przywrócić dobre imię swego patrona, Centrum Edukacji Inicjatyw Przedsiębiorczości im. Mikołaja Reja 8 sierpnia br. w siedzibie Ośrodka Promocji Kultury Polskiej przy ul. Winniczenki 30 we Lwowie zorganizowało spotkanie tematyczne „Promocja postaci i twórczości Mikołaja Reja, patrona organizacji, w środowisku lokalnym”. Działania Centrum w celu promocji Mikołaja Reja i samego Żurawna trwają już od kilku dobrych lat, bowiem oprócz Reja Żurawno jest też szczególnym miejscem historycznym. Prezes Centrum Tatiana Bojko wspólnie w władzami lokalnymi Żurawna zrealizowała cały szereg inicjatyw, mających na celu popularyzację tej miejscowości i jej patrona. Tu bowiem znajduje się obelisk pamiątkowy, wystawiony z okazji bitwy stoczonej przez Sobieskiego na przedpolach tej miejscowości w 1673 r. Tu też podpisano nowy akt pokojowy z Turcją, częściowo anulujący ustalenie poprzedniego haniebnego pokoju, podpisanego przez króla Mikołaja Korybuta Wiśniowieckiego pod Buczaczem. Do tych inicjatyw promocyjnych weszły też inne akcje, takie jak wmurowanie w murach ratusza tablicy pamiątkowej poświęconej wielkiemu rodakowi tej ziemi, Mikołajowi Rejowi, zwiedzanie resztek dawnych kopalni alabastru hrabiów Czartoryskich i promocja ich wyrobów, promocja zalet gospodarczych i kulinarnych Reja, akcja poetycka dla młodzieży szkolnej „Język polski dodaj do ulubionego”. Można tu jeszcze powiedzieć o sprzątaniu lokalnego starego „polskiego” cmentarza przez młodzież oraz inne aktywności. Z tej wyliczanki widać, że rodzinna miejscowość patrona Centrum i jego osobiste zalety są aktywnie promowane nie tylko wśród społeczności polskiej.

Tym razem kolejny etap promocji miał miejsce we Lwowie. Cała akcja pomyślana była przez panią prezes jako szerszy aspekt i połączyła się z promocją organizacji rządowych - Instytutu Spuścizny Niematerialnej i Rady Mniejszości Narodowych przy Lwowskiej Radzie Obwodowej. Akcję swoją obecnością zaszczyciła konsul Joanna Szeliga



TATIANA BOJKO OTWIERA SPOTKANIE

z Konsulatu Generalnego RP we Lwowie, deputowana Rady Rejonowej Oksana Grabowska, przedstawiciele Centrum wsparcia uchodźców we Lwowie, Koło Gospodyń ze Szczerca, Kluby Kobiet ze Stryja i ze Lwowa oraz przedstawiciele Lwowskiego Uniwersytetu III wieku z prezes Iłoną Ołeksów. Z FB, na którym Centrum umieściło informację o imprezie, dowiedzieli się przedstawiciele Fundacji REYBUDHELP z Rejowca w woj. Lubelskim, miasta założonego przez Mikołaja Reja. Przyjechali specjalnie do Lwowa na to spotkanie.

Spotkanie rozpoczęło się minutą ciszy, upamiętniającej tych, co zginęli podczas działań wojennych z agresorem rosyjskim. Zebranych powitała i przedstawiła gości prezes Tatiana Bojko zapowiadając program spotkania. Następnie Artur Żak w ogólnych zarysach zaprezentował postać patrona Centrum i okres historyczny, w którym żył i tworzył. Uzupełnieniem tych wiadomości był film, stworzony przez Centrum, w którym w ilustracyjny sposób podano informację o życiu, twórczości i dorobku – nie tylko literackim – Mikołaja Reja.

Po filmie prezes zaproponowała degustację wyrobów kulinarnych, przygotowanych według ścisłych przepisów, które Mikołaj Rej umieścił w swych utworach. Były to ćwikła i piernik. Znacząco różniły się wyglądem i smakiem, ale wszyscy

ocenili ich walory smakowe. Ćwikłę przygotowały gospodynie ze Stryja, a piernik – gospodyni ze Lwowa. Ta osoba od lat piecze wspaniałe wypieki domowe, ale, gdy zaczęła przygotowywać ciasto na piernik, była w szoku. Jak każda gospodyni, przeżywała co z niego wyrośnie – ciasto początkowo przypominało zwykłe ciasto na pierogi, pomimo iż wszystkie składniki dodano ściśle według przepisu. Z sercem pełnym obaw otwierała piekarnik, ale okazało się, że ciasto wyrosło wspaniale, a jego smak ocenili już goście spotkania.

Natomiast Koło gospodyń ze Szczerca z prezes Heleną Skoczylas przygotowało swoje dania regionalne. Był to pieróg z ziemniaków i kaszy gryczanej oraz bigos, jakie można skosztować w tej okolicy. Podobne dania są bardzo popularne. Ale przez odpowiednio dobrane proporcje składników i przypraw wyróżniały się w szczególnie sposób. Panie wystąpiły w regionalnych szczyrceckich strojach ludowych. Do dania podano również schab, chociaż upieczony już we współczesnym piekarniku elektrycznym, ale zamarynowany według przepisu Mikołaja Reja. Udał się doskonale: miękki, z chrupiącą skórką. Wszystkim smakował wyśmienicie.

Uczta, chociaż było to jedynie degustacja, udała się wspaniale, odkrywając kolejną stronę postaci naszego patrona



MAREK ŚWIDERCZUK OPOWIADA O REJOWCU



SŁUCHACZE SPOTKANIA PROMOCYJNEGO



ĆWIKŁA WEDŁUG MIKOŁAJA REJA



PIERNIK WEDŁUG MIKOŁAJA REJA

– oprócz tego, że lubił dobrze i smacznie zjeść, to jeszcze notował przepisy co smaczniejszych dań. Czy wiele mamy takich wiadomości od innych autorów o tym, co jadano wówczas? Natomiast cikliwych wierszydeł i podobnych poematów jest co niemiara.

W kolejnej części spotkania, gdy uczestnicy skosztowali kulinarnych dzieł z epoki Mikołaja Reja, mowa była o tradycjach i ich znaczeniu w dniu dzisiejszym.

Na początku prezes fundacji REYBUDHELP Marek Świderczuk przedstawił historię Rejowca, miejscowości założonej przez Mikołaja Reja na terenach wsi, należącej do jego małżonki Zofii Kościeniowej. Akt nadania praw miejskich został wydany przez króla Zygmunta Starego w 1547 r. Miasteczko miało prawo do dwóch jarmarków w roku i cośrodkowe targi lokalne. Dało to impuls do rozwoju i wzbogacenia się miasta. Ostatnio podczas remontu istniejącego tu pałacu Zaleskich z XIX w. natrafiono na fundamenty pierwotnego dworku Rejów, co potwierdziły badania historyczne i archeologiczne. Swego założyciela miasto uczciło stosownym pomnikiem.

Jako następny wystąpił przedstawiciel Rady Mniejszości Narodowych przy

Lwowskiej Radzie Obwodowej i opowiedział o działaniach Rady oraz możliwościach współpracy z poszczególnymi stowarzyszeniami mniejszości narodowych.

Potem Olga Bodnar z Instytutu Spuścizny Niematerialnej wyjaśniła co zawiera pojęcie „niematerialnej spuścizny” i jakie jest jej znaczenie i możliwości wspierania mniejszości narodowych. W Europie i Polsce wiele produktów regionalnych otrzymało tytuł spuścizny niematerialnej i Polacy na Ukrainie też mają możliwość przedstawiania swoich wniosków ubiegając się o taki tytuł. Mogą to być potrawy regionalne, tradycyjne obrzędy, czy inne formy charakterystyczne dla danego regionu. Jako przykład pani Olga przytoczyła ćwikłę według przepisu Reja – po pierwsze jest to danie regionalne, a po drugie przepis ma elementy charakterystyczne i ponad 500-letnią tradycję.

Olga Bodnar przedstawiła zebranym unikalne wydanie – album „Kraj pod skrzydłem żurawia”. Przedstawia on walory historyczne, wycieczkowe i przyrodnicze ziemi Żurawieńskiej. Jego unikalność polega na tym, że wydany jest w dwóch językach – po polsku i ukraińsku oraz czcionką Braila, co daje możliwość zapoznania się z nim osobom niewidzącym.

Na zakończenie Tatiana Bojko wręczyła dwujęzyczne egzemplarze „Przygód Koziołka Matołka” Kornela Makuszyńskiego i Mariana Walentynowicza w przekładzie mieszkanki Stryja, poetki Teodory Sawczyńskiej-Łatyk, przedstawiciele Centrum Wsparcia Uchodźców we Lwowie i Markowi Świderczukowi do przekazania ich do muzeum regionalnego w Rejowcu.

Spotkanie minęło w serdecznej atmosferze w pięknej, jasnej sali Ośrodka Promocji Kultury Polskiej, a jego uczestnicy w naoczny sposób nie tylko otrzymali informację o patronie Centrum Edukacyjnego im. Mikołaja Reja, ale mieli również możliwość spróbować oryginalnych dań z jego kuchni.

Kto opowie miasto po przeszczepie?

Polska kultura i literatura ma spośród wielu swych twarzy jedną, którą można by określić łacińskim powiedzeniem *diversitas delectat*. Jej dzieła, jak filmy Konwickiego, poematy Mickiewicza czy obrazy Brandta, dzieła tak przecież fundamentalne dla polskości w ogóle, wyrastają ze świata wielu narodów i konfesji. Świata, którego utarta nazwa przywołuje wspomnienie jego upadku – świata Kresów. Tutaj, we Lwowie, sama rzeczywistość każe zadać pytanie, czy jego opowieść istnieje także dzisiaj.

TEKST I ZDJĘCIE
MATEUSZ PARKASIEWICZ

No właśnie – „Kresy”. Pojęcie, dziś rozszczepione na co najmniej kilka interpretacji, dyktowanych zazwyczaj przez nację, emocję i horyzonty umysłowe mówiącego. Jedni używają go dziś wyłącznie jako synonimu polskiej obecności na Wschodzie, po to, aby drudzy, mniej jeszcze biegli w terminologii polskiej kultury, zaczęli bić w dzwon na alarm, że oto za Bugiem odradza się „polski rewanżyzm”. Tymczasem słowo „Kresy”, z jednej strony będąc pojęciem ruchomym, z drugiej na stałe wpisało się w krajobraz naszych legend o pograniczu. Zanim więc przejdziemy do głównej refleksji, spróbujmy pokrótce prześledzić jego historię.

Po raz pierwszy w języku literackim pojawiło się ono w poemacie „Mohort” Wincentego Pola. W dziele tym, jak zwraca uwagę Damian Gocół, zostało ono użyte w znaczeniu „czatów granicznych” i nie miało w sobie jeszcze tej treści, którą wypełnił je międzywojenny polski nacjonalizm. W „Mohorcie” czytamy: Kiedy mnie ojciec z Dubiecka wyprawiał/ w drogę na kresy, nie długo zabawił: „Idź w dzikie pola, kędy życie chrobre/ i exercitium dla młodego dobre, /Zawdy na koniu i zawdy w obozie, /W służbie, w posłuchu i w hetmańskiej grozieli”. Widzimy tu wyraźnie, że jest to jeszcze pojęcie cokolwiek niewinne, pisane małą literą i nieuwikłane w ideologię. Dopiero z czasem, jak zauważa Katarzyna Sicińska, obszar, do którego odnosiło się to pojęcie, zarówno semantyczny, jak i terytorialny, rozpoczął swoją migrację. Po rozbiorach zaczęto określać nim ziemie, które nie weszły w skład Królestwa Polskiego, zaś w dobie międzywojennej – wschodnie województwa II Rzeczypospolitej.

Nie każdy jednak był przychylny takiej terminologii. I nie mówię tu wyłącznie o tych kołach ukraińskich, litewskich



czy białoruskich, które, wobec swej sytuacji w ówczesnym państwie polskim, logicznie skojarzyły Kresy z polską dominacją. Z dystansem pisała o nim także Konstancja Skirmuntt, faktyczna i ideowa potomkini budowniczych dawnej Rzeczypospolitej.

„Kresy! Osobliwa nazwa, godna chaotycznej przejściowej epoki, nosząca w sobie pojęcie dowolnego skracania się, ściągania się lub rozszerzania – w miarę potrzeb jednego narodu, na ziemiach trzech narodów. – Nazwa więc z gruntu fałszywa. Uznały to już władze rządzące, zmieniając tę nazwę na: województwa wschodnie, co zbliża do prawdziwej ich nazwy – krajów wschodnich”.

Nie jest do końca jasne, czy Konstancja Skirmuntt miała na myśli kraje w znaczeniu nowoczesnych Litwy, Białorusi i Ukrainy, czy raczej w znaczeniu regionalnym, takim, jak choćby Ziemia Czerwieńska, dawna nazwa ziemi od Przemysła do Lwowa. Zważywszy więc, że pojęcie „Kresy” jest a) pojęciem niedoprecyzowanym, b) pojęciem dziś już raczej historycznym, by lepiej ująć istotę rzeczy, w tekście będziemy mówić o „wschodnim pograniczu” (przy czym raczej w kontekście żywiołu, niż twardej statystyki). Pozostaniemy tym samym w centrum tego, co najbardziej nas w „Kresach” i wschodniej opowieści interesuje.

A jest czym się interesować. Zwłaszcza, że po II wojnie światowej to pogranicze zostało brutalnie rozdzielone. Jego

ludność przegoniono „do siebie”, choć ich prawdziwe „u siebie” zostało za plecami. Cóż więc z niego zostało?

Można pójść standardową drogą litanii nazwisk. Można powtarzać jak mantrę, że dało nam Mickiewicza, Słowackiego, Herberta, Konwickiego, Miłosza... Będzie to, przy bliższym przyjrzeniu się sprawie, wciąż dość dalekie od realiów współczesnych. Zbliżywszy się do nich, kiedy zadamy sobie inne pytanie – co faktycznie zostało z tej rzeczywistości? Czy jedynie pamiątka sprzed aparatu turysty? Czy romantyczne westchnienie do „Kresów” bądź ziemi łemkowskiej? Czy tylko suche „Słowacki (Mickiewicz, Miłosz...) wielkim poetą był”? Cóż, ostatecznie znajdują się i tacy, którzy stwierdzą, że pogranicze wciąż pulsuje pod światem państw narodowych, żywe i wcale nie mniej rzeczywiste, niż w dawnych wiekach.

Nacjonalizmy i regionalizmy

Nie jest tajemnicą, iż pogranicza często rodzą dwa typy ludzi. Podzielmy ich umownie na tych ciekawych świata i tych, którzy z różnych powodów dystansują się od krajanów innego plemienia. Pierwsi będą z dumą przedstawiali swoje miasto lub region jako dom wszystkich swych nacji i konfesji. Drugim łatwiej będzie osunąć się w uprzedzenie. Poza tym, jak zauważył ukraiński historyk Jarosław Hrycak w swojej pracy „Pokonać przeszłość. Globalna historia Ukrainy”, pogranicza są „strefami podwyższonej kreatywności”.

Wystarczy wspomnieć przytoczoną już tutaj plejadę nazwisk, by znaleźć zdecydowane potwierdzenie tej tezy.

Wszystkie te trzy elementy można zaobserwować we Lwowie. Ukraińcy pierwszego typu, pytani, gdzie tak dobrze nauczyli się polskiego, odpowiadali mi – „przecież jestem ze Lwowa”. O Ukraińcach drugiego typu dość powiedzieć tyle, że w poziomie uprzedzenia równają się swoim polskim-lwowskim (fizycznie obecnym bądź wirtualnym) odpowiednikom. Obie te grupy chciałyby przepisać historię miasta tak, by przedstawić w niej przeciwnika jako element obcy.

Zabawnie spuentował tę sytuację, tuż po drugiej wojnie, Józef Łobodowski. Odnosząc się do realiów międzywojennej Ziemi Czerwieńskiej, przedstawił ją w sposób anegdotyczny, wywiedziony jednak niewątpliwie z praktyki. Otóż ukraiński nacjonalista, przykładowy Swierczewskij, wpadał w święte oburzenie, gdy tylko wytykano mu polskie „prizwyszczce”. Zupełnie tak, jak nacjonalista polski, o wdzięcznym nazwisku Kowalenko, wyklinał dociekliwego rozmówcę, który śmiało wskazał na ukraińską końcówkę jego nazwiska. Gdy taki miły obrazek złączymy z bujnym – choć głównie polskim, to przecież w otoczeniu mieszanym – folklorem, zrodzonym we Lwowie w czasach szczytowych dla jego różnorodności, otrzymamy, w zgodzie z powyższym kryterium, pogranicze najzupełniej typowe.

Ci zaś, którzy na takie słowa chcieliby krzyknąć o „wiecznie polskim” czy „wiecznie ukraińskim” mieście, są nieuświadomionym przez siebie potwierdzeniem tych słów.

Łobodowski pisał jednak o czasach minionych. Dziś Polska i Ukraina są przedzielone wciąż jednak szczelną granicą i poza migrantami czy przyjezdnymi we Lwowie mieszkają Ukraińcy, a, dajmy na to, w Przemysłu – Polacy. Czy na pewno?

Albo większość, albo całość

Piszę te słowa dla medium, które jest żywym zaprzeczeniem pewnego mitu. Lub też inaczej – częścią większego świata, który odstania się po zeszkrobaniu tejże mitologii. Zarówno lwowski „Kurier Galicyjski”, jak choćby przemysko-ukraińskie „Nasze Słowo”, są świadectwem historii tych ziem, znacznie bardziej niejednorodnej, niż chciałby tego walec pospolitego nacjonalizmu ze swą tendencją do upraszczania świata – „tu nasze od zawsze, a wasze tam”.

Nie chcemy widzieć, że życie, w tym także życie narodów, jest – razem ze swymi kategoriami – znacznie bardziej postrzępione. Chcemy widzieć je zaokrąglonym i banalnym, byle bezpiecznym. Raz na zawsze, do końca ustalić jego granice. Ale przegrywamy, bo życie nigdy nie jest ułożone „do końca”. Jest przemieszanane, pełne napięć, ale i przejawów dobroci. Pogranicza z reguły mnożą te jego cechy. Być może stamtąd wypływa ich twórcze odium? Z pomnożenia cech życia przez różnorodność? „Zrobisz mu krzywdę, tu wtedy si strzeż – batiar pukaży ci kły... A zrobisz mu dobro, tu on tobi też – sto razy wiencyj, jak ty”.

Nie ma sensu udawać, że zróżnicowanie ludności Ziemi Czerwieńskiej jest dziś choćby w połowie zbliżone do stanu sprzed drugiej wojny. Żyje jednak w pozostałościach tej mozaiki. A tę tworzą żywi ludzie, jak najbardziej współcześni. Tym, czego potrzebują, jest opowieść, która przyjmie ich wszystkich. I jeśli dziś myślimy poważnie o stosunkach polsko-ukraińskich, musimy zadać sobie pytanie o to, kto ją podejmie.



Mateusz Parkasiewicz (ur. 1998) – prozaik, publicysta. Autor nagrodzonej powieści „Georgia”. Od 2018 roku zajmuje się relacjami polsko-ukraińskimi. Publikował m.in. w Klubie Jagiellońskim, Stronie Czynnej, Kontencie oraz Kurierze Galicyjskim. Mieszka we Lwowie.

Mieczysław Orłowicz. Lwów, którego już nie ma

Mieszkam niedaleko i niemal codziennie przechodzę ulicą Wyszeńskiego. Dawniej była to ulica Wyspiańskiego. Przez lata był to dla mnie po prostu jeden z lwowskich adresów, mijany w drodze do innych miejsc. Dzisiaj zatrzymuję się tutaj na chwilę. Wiem bowiem, że ponad sto lat temu z numerem 9 przy tej ulicy związana była działalność człowieka, którego książki przez ponad dwadzieścia lat mojej pracy jako przewodnika po Lwowie były dla mnie ważnym źródłem wiedzy o mieście. Mieczysław Orłowicz.

ANNA GORDIJEWSKA

Chcę spojrzeć na jego życie przede wszystkim przez pryzmat Lwowa. Nie tylko dlatego, że właśnie tutaj studiował i rozpoczął swoją działalność turystyczną. Także dlatego, że Lwów stał się jednym z ważnych miejsc w jego życiu, a jego przewodniki zachowały obraz miasta, którego już nie ma.

Mieczysław Orłowicz urodził się 17 grudnia 1881 roku w Komarnie. Dzieciństwo i młodość spędził w kilku miejscowościach. Uczył się między innymi w Jarosławiu, Samborze i Chyrowie, gdzie w 1899 roku zdał maturę. Już wtedy interesowały go historia, geografia i miejsca, które poznawał podczas podróży. Zainteresowania te z czasem przekształciły się w pasję, która miała zadecydować o całym jego życiu.

W 1899 roku rozpoczął studia prawnicze. W latach 1899–1903 studiował prawo we Lwowie, Krakowie, Wiedniu i Pradze. Nie była to więc edukacja zamknięta w murach jednego uniwersytetu. Kolejne miasta stawały się dla niego również miejscami obserwacji, doświadczeń i poznawania różnych środowisk.

W 1905 roku uzyskał doktorat praw na Uniwersytecie Lwowskim. Nie zakończyło to jego nauki. W latach 1905–1909 studiował na Wydziale Filozoficznym Uniwersytetu Lwowskiego, interesując się historią sztuki, archeologią, geografią i filozofią. Lwów był w tym okresie ważnym ośrodkiem akademickim i kulturalnym. To tutaj Orłowicz zdobywał kolejne doświadczenia, poznawał środowisko młodych ludzi zainteresowanych krajoznawstwem i coraz mocniej angażował się w turystykę. Wiedza akademicka szybko zaczęła łączyć się z praktyką.

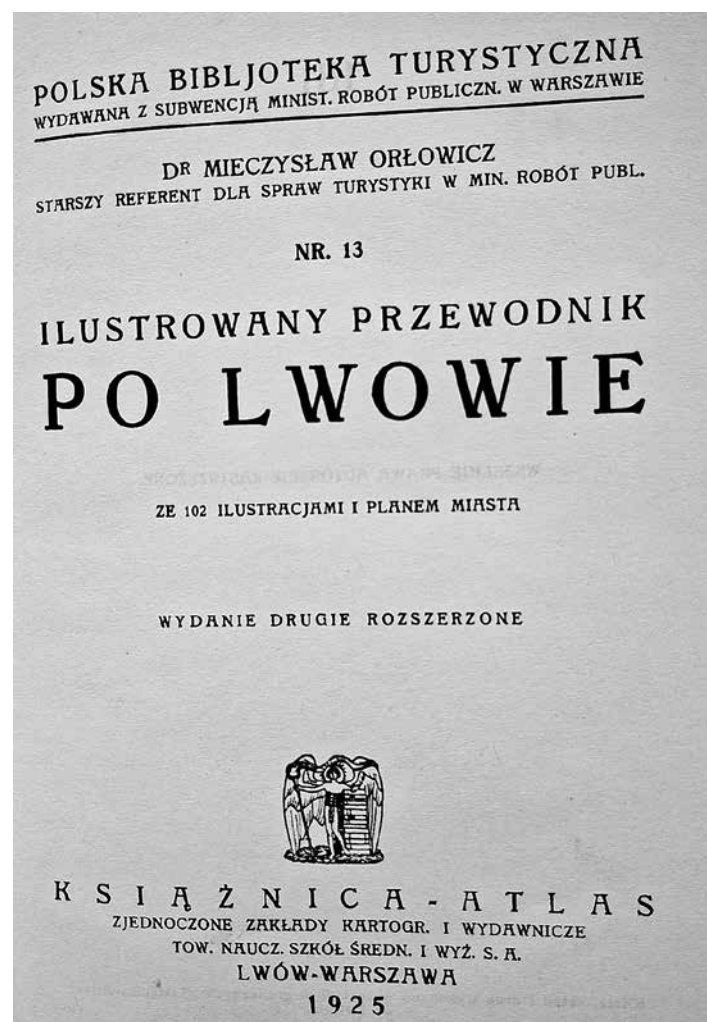


MIECZYŚLAW ORŁOWICZ

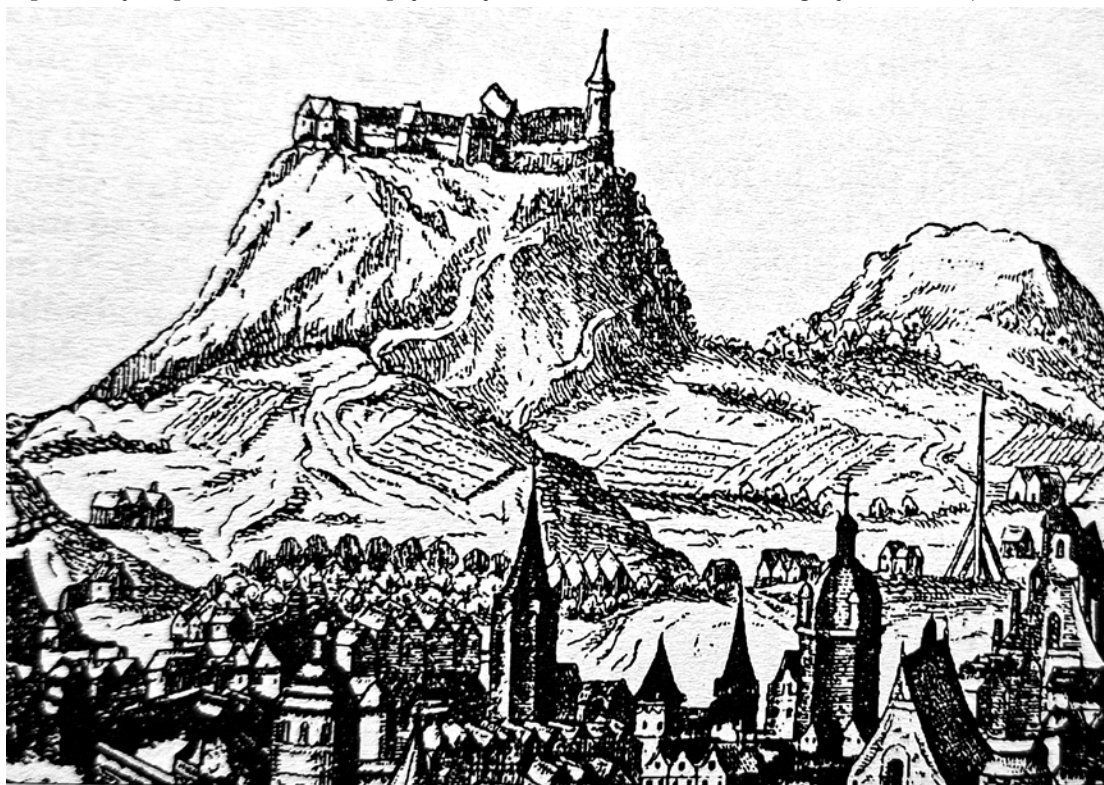
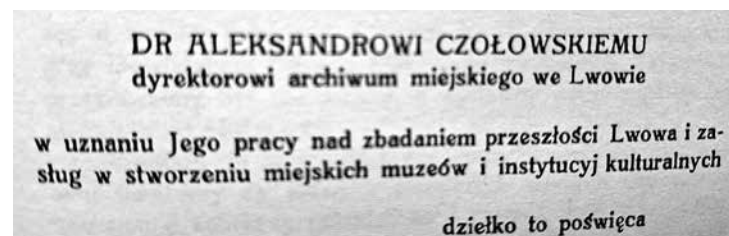
Nie wystarczyło mu poznanie świata z książek. Chciał go przemierzać, obserwować i pokazywać innym. Organizował wycieczki, a jego zainteresowanie turystyką akademicką stało się jednym z impulsów do powstania we Lwowie Akademickiego Klubu Turystycznego w 1906 roku. Orłowicz był jednym z jego inicjatorów i pierwszym prezesem. Klub

skupiał młodych ludzi zainteresowanych turystyką, taternictwem, narciarstwem i krajoznawstwem. Organizowano wyprawy w góry, poznawano Karpaty i Tatry, a także dalsze regiony Europy.

Był to ważny moment w rozwoju lwowskiego ruchu turystycznego. Turystyka przestawała być wyłącznie prywatnym zainteresowaniem



REPRINT „ILUSTROWANEGO PRZEWODNIKA PO LWOWIE” MIECZYŚLAWA ORŁOWICZA.



Wysoki Zamek i część Śródmieścia w r. 1617
Ze zb. Archiwum Miejskiego

PANORAMA LWOWA Z 1617 ROKU. ILUSTRACJA „ILUSTROWANEGO PRZEWODNIKA PO LWOWIE” MIECZYŚLAWA ORŁOWICZA

pojedynczych osób. Stawała się częścią życia akademickiego i społecznego. Wyjazd w góry oznaczał jednocześnie

poznanie przyrody, historii i własnego kraju.

Skala aktywności Orłowicza może dziś naprawdę zaskakiwać. Pod koniec życia obliczał, że w ciągu swojej działalności turystycznej pokonał pieszo około 140 tysięcy kilometrów. To – ponad trzykrotnie więcej niż wynosi długość równika. Organizował i prowadził niezliczone wycieczki i rajdy. Część swoich doświadczeń opisał później w „Moich wspomnieniach turystycznych”. Ta ogromna praktyka miała znaczenie dla jego późniejszego piśarstwa. Orłowicz nie tworzył przewodników wyłącznie na podstawie cudzych opracowań. Sam przemierzał góry, miasta i drogi, obserwował krajobrazy, zabytki i warunki podróży. Zdobyte doświadczenie przekładał następnie na język praktycznego przewodnika. Lwów pozostawał jednym z ważnych punktów tego środowiska. Tutaj spotykali się ludzie, których łączyła ciekawość świata i potrzeba poznawania własnego kraju.

Dobrym świadectwem tego ruchu jest wydawana we Lwowie w 1913 roku „Nasza Turystyka. Czasopismo turystyczne i narciarskie”. Zachowany

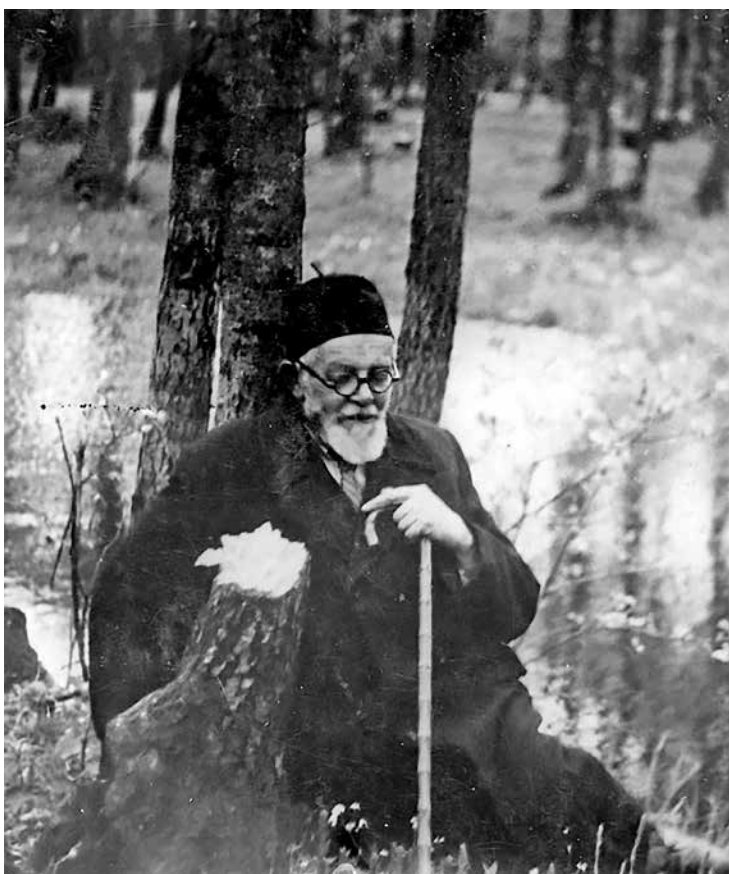
rocznik znajduje się w Jagiellońskiej Bibliotece Cyfrowej. Czasopismo związane było ze środowiskiem turystycznym i Akademickim Klubem Turystycznym, a Mieczysław Orłowicz występował w nim jako redaktor. Stare strony czasopisma pokazują nie tylko rozwój turystyki. Są również zapisem życia środowiska, które tworzyło się wokół wycieczek, gór, narciarstwa i krajoznawstwa. Widać na nich ludzi, organizacje, plany wypraw i miejsca, które dla ówczesnych turystów dopiero stawały się celem podróży.

W tym samym 1913 roku pojawia się dokument, który pozwala jeszcze dokładniej wejść w świat działalności Orłowicza. W ogłoszeniu dotyczącym przygotowywanego trzeciego wydania „Polskiego Przewodnika po Europie” zwrócono się do Polaków mieszkających za granicą z prośbą o nadsyłanie informacji o polskich firmach, sklepach, hotelach, pensjonatach, lekarzach, instytucjach i towarzystwach, a także o polskich pamiątkach i zabytkach.

Na końcu ogłoszenia podano: „Adres wydawnictwa: dr. Mieczysław Orłowicz, Lwów, ul. Wyspiańskiego 9”. To jeden z tych niewielkich dokumentów, które pozwalają spojrzeć na historię tego miejsca. Dawna ulica Wyspiańskiego to dzisiejsza ulica Wyszeńskiego. Nie należy jednak przedstawiać tego adresu jako mieszkania Orłowicza. Sam dokument określa go jako adres wydawnictwa. W 1913 roku pod tym adresem kierowano więc korespondencję związaną z przygotowywanym wydaniem przewodnika.

Na tej samej lwowskiej mapie pojawia się jeszcze jeden ważny adres, a mianowicie Romanowicza 9, dzisiaj ulica Saksahanskiego. W 1913 roku „Nasza Turystyka” podawała, że pod tym adresem mieścił się Akademicki Klub Turystyczny, a od 1 sierpnia jego adres miał zostać zmieniony na ulicę Trzeciego Maja 10, obecnie ulica Sichowych Striltciw. Te trzy adresy tworzą ciekawą mapę działalności związanej z Orłowiczem: dawna Wyspiańskiego 9 to adres wydawnictwa wskazany w ogłoszeniu z 1913 roku; Romanowicza 9 była to siedziba Akademickiego Klubu Turystycznego oraz Trzeciego Maja 10 był to kolejny adres klubu. Właśnie takie szczegóły pozwalają najdokładniej odtworzyć jego lwowską obecność.

Mieczysław Orłowicz podróżował po Europie, poznawał góry i zabytki, organizował wyprawy, a następnie coraz intensywniej pisał przewodniki. Interesowały go nie tylko miejsca najbardziej znane. Potrafił poświęcać uwagę również mniejszym miejscowościom i regionom, które nie były jeszcze oczywistymi celami turystycznymi. Jego przewodniki miały charakter praktyczny. Czytelnik znajdował w nich informacje o zabytkach, komunikacji, noclegach, trasach



MIECZYSŁAW ORŁOWICZ

i możliwościach zwiedzania. Jednocześnie Orłowicz potrafił spojrzeć na miasto z perspektywy człowieka, który dopiero do niego przyjeżdża.

Dotyczyło to również Lwowa. W jego opisach zachował się obraz miasta z początku XX wieku: miasta wielonarodowego, pełnego instytucji, świątyń, muzeów, szkół i miejsc związanych z historią. Dziś te opisy pozwalają porównywać dawny Lwów z miastem współczesnym. Dlatego przewodniki Orłowicza są czymś więcej niż dawnymi książkami. Są mapami pamięci.

Szczególne miejsce zajmuje „Ilustrowany przewodnik po Lwowie”. Drugie, rozszerzone wydanie ukazało się we Lwowie i Warszawie w 1925 roku nakładem Książnicy-Atlas. Liczyło 273 strony i zawierało ilustracje oraz plan miasta. Na początku XXI wieku wydawnictwo Ruthenus opublikowało reprint tego wydania. Mam ten reprint i właśnie dzięki niemu kontakt z dawnym Lwowem nie ogranicza się do reprodukcji czy pojedynczych cytatów. Można po prostu otworzyć książkę i porównywać opis z tym, co istnieje dzisiaj.



DAWNA UL. WYSPIAŃSKIEGO 9, OBECNIE WYSZEŃSKIEGO WE LWOWIE

W moim egzemplarzu znajduje się również dedykacja dla Aleksandra Czołowskiego, jednej z ważnych postaci życia naukowego i kulturalnego dawnego Lwowa. Ten niewielki zapis jest dla mnie znaczący, ponieważ pokazuje środowisko ludzi, którzy zajmowali się historią, kulturą i zachowaniem pamięci o mieście.

Po pierwszej wojnie światowej Orłowicz wykorzystał swoje doświadczenie w budowaniu nowoczesnej turystyki w odrodzonej Polsce. Od 1919 roku pracował w Ministerstwie Robót Publicznych, a później był związany z Ministerstwem Komunikacji, gdzie zajmował się sprawami turystyki. Nadal pisał, prowadził wycieczki i działał na rzecz popularyzowania krajoznawstwa.

Jego dorobek obejmuje liczne przewodniki i opracowania poświęcone różnym częściom Polski i Europy. W jego działalności widoczna była konsekwencja: wiedzę o świecie należało nie tylko zdobywać, ale również przekazywać innym. Wojna zmieniła świat, który znał z młodości. Zmienił się również Lwów – miasto, w którym studiował, działał i rozwijał swoją pasję. Orłowicz zmarł 4 października 1959 roku w Warszawie.

Pozostały po nim książki, wspomnienia, fotografie i archiwalia. Dzięki nim można dziś odtworzyć nie tylko historię polskiej turystyki, ale również sposób, w jaki patrzył na miasto, krajobrazy i ludzi. A przede wszystkim można odnaleźć jego ślady we Lwowie. Nazwy się zmieniły, podobnie jak mieszkańcy i historia miasta, ale dokumenty pozwalają jeszcze na chwilę połączyć współczesne ulice z ich dawnym życiem.

Najbardziej niezwykły pozostaje dla mnie adres zapisany w ogłoszeniu z 1913 roku Wyspiańskiego 9. Kilka słów na starej stronie wystarcza, by zobaczyć człowieka przy pracy. Nie jego mieszkanie, bo tego dokument nie potwierdza, lecz miejsce związane z działalnością wydawniczą. Można wyobrazić sobie korespondencję nadsyłaną z różnych stron Europy, informacje zbierane do kolejnego przewodnika i pracę

nad książką, która miała prowadzić innych podróżnych. Historia Lwowa nie zawsze kryje się w wielkich pomnikach i najbardziej znanych budynkach. Czasami znajduje się w jednym zdaniu starego ogłoszenia. W adresie zapisanym ponad sto lat temu. W nazwisku człowieka, którego książki przetrwały znacznie dłużej niż świat, który opisywały.

Orłowicz był człowiekiem w drodze. Studiował w kilku miastach, zdobył wykształcenie prawnicze, a następnie rozwijał wiedzę z zakresu historii sztuki, archeologii, geografii i filozofii. Organizował wycieczki, współtworzył Akademicki Klub Turystyczny, redagował „Naszą Turystykę”, pisał przewodniki i pracował nad rozwojem turystyki.

Jednocześnie pozostawił po sobie coś więcej niż katalog książek i listę przebytych kilometrów. Pozostawił sposób patrzenia na miasto.

Kiedy otwieram jego przewodnik, widzę Lwów, który znam, a zarazem miasto, którego już nie ma. Te same ulice mogą prowadzić w inne miejsca pamięci. Te same mury mogą opowiadać inną historię. Dawna nazwa ulicy może otworzyć drogę do świata sprzed ponad stu lat. Można wtedy przejść śladami Orłowicza: od Uniwersytetu Lwowskiego, gdzie studiował, przez miejsca związane z Akademickim Klubem Turystycznym, aż po dawną Wyspiańskiego, gdzie w 1913 roku wskazano adres jego działalności wydawniczej. Ale to już będzie spacer przez dwa Lwowy.

On opisywał Lwów, który widział ponad sto lat temu. Ja poznaję i opisuję go dzisiaj, patrząc na te same ulice z innej perspektywy. Lwów się zmienił. Zmieniły się nazwy, granice i ludzie. Ale pytania pozostają podobne: co widzimy, skąd to miejsce się wzięło, kto tędy przechodził i jakie historie zostały zapisane w jego murach?

Może właśnie dlatego, przechodząc dziś ulicą Wyszeńskiego, mam wrażenie, że czasem wystarczy otworzyć stary przewodnik, żeby na chwilę spotkać Lwów, którego już nie ma. I człowieka, który potrafił ten Lwów ocalić na papierze.

Fragment ogłoszenia dotyczącego przygotowywanego III wydania „Polskiego Przewodnika po Europie”, 1913, nr 27. W ogłoszeniu podano adres: dr. Mieczysław Orłowicz, Lwów, ul. Wyspiańskiego 9. — Wszelkie informacje pomieszczone będą w Przewodniku bezpłatnie, dla użytku polskiej publiczności podróżującej.

FRAGMENT OGŁOSZENIA DOTYCZĄCEGO PRZYGOTOWYWANEGO III WYDANIA „POLSKIEGO PRZEWODNIKA PO EUROPIE”. „NOWOŚCI ILUSTROWANE”, 1913, NR 27. W OGŁOSZENIU PODANO ADRES: DR MIECZYSŁAW ORŁOWICZ, LWÓW, UL. WYSPIAŃSKIEGO 9

Jesse Eisenberg jako wolontariusz w Ukrainie

Jesse Eisenberg, gwiazda Hollywood dołączyła do amerykańskiej ekipy The Campfire Project, która w Nahaczowie koło Jaworowa poprowadziła warsztaty terapeutyczno-artystyczne dla blisko 80 ukraińskich dzieci. Organizacją i logistyką przedsięwzięcia zajęły się Fundacja Humanitarna Folkowisko z województwa podkarpackiego oraz organizacja społeczna Folkowisko.UA z obwodu lwowskiego.

TEKST I ZDJĘCIA
KONSTANTY CZAWAGA

– Na tej ławce wczoraj siedział Jesse Eisenberg – mówi do mnie Marcin Piotrowski, prezes Stowarzyszenia Folkowisko, gdy rozmawiamy na jego chutorze Gorajec koło Lubaczowa na Podkarpaciu.

Wiedziałem już, że znany amerykański aktor wraz z całą ekipą z USA przekroczył granicę i jest w Ukrainie, w Nahaczowie. Po powrocie do Lwowa z powodów bezpieczeństwa nie mogłem od razu pojechać do tej miejscowości, gdzie zorganizowano obóz dla dzieci. Umówiłem się na spotkanie i wywiad dopiero na sam koniec, tuż przed ich wyjazdem z Ukrainy.

Droga na spotkanie z wolontariuszami amerykańskimi okazała się wyzwaniem. Dojechałem autobusem rejsowym do Jaworowa, jednak spóźniłem się tam na autobus do Nahaczowa. Zaczyna się wyścig z czasem. Chodzę między zaparkowanymi samochodami i busikami, podpytuję kierowców, czy ktoś nie jedzie w tamtym kierunku.

– Za pięć minut ja pojadę – odpowiada w końcu jeden z nich, rzucając na mnie uważne spojrzenie. – To Panu może trzeba do szkoły, gdzie Amerykanie prowadzą z dziećmi warsztaty?

Potwierdzam. Twarz kierowcy natychmiast się rozjaśnia.

– O, tam jest też moja wnuczka! Zrobiła sobie zdjęcie z jakimś aktorem. Dzisiaj będą tam pokazywać, czego się nauczyli.

Wskakuję do busa. To niesamowite, jak wieść o nowojorskich artystach i gwiazdorze z Hollywood zrosła się z codziennością tej przygranicznej okolicy. Choć od linii frontu są stąd setki kilometrów, wojna i tak tu dotarła. Nie spadają tu bomby, a na niebie nie słychać samolotów. Wojna syczy się tu jednak codziennie wzdłuż drogi prowadzącej przez wioskę w kierunku pobliskiego przejścia granicznego Hruszów – Budomierz.

Od czasu pełnoskalowej inwazji rosyjskiej pociągnięty tędy sznury samochodów i autobusów pełnych uchodźców ze wschodniej Ukrainy. Dzieci

patrzą na ten niemy dramat przez płoty swoich podwórek.

Drugą twarzą tego wiejskiego stresu jest uderzająca pustka. W Nahaczowie brakuje mężczyzn. Jedni walczą na froncie, inni uciekli za granicę, a jeszcze inni – sparaliżowani lękiem przed mobilizacją – od miesięcy ukrywają się w domach. Ciężar utrzymania wszystkiego spadł wyłącznie na kobiety. Ten permanentny, cichy stres matek błyskawicznie rezonuje w ich dzieciach – widać go w spiętych ramionach maluchów i ich zbyt dorosłych, smutnych spojrzeniach.

The Campfire Project

I właśnie w tę rzeczywistość weszła ekipa z The Campfire Project. Jest to międzynarodowa organizacja humanitarna założona w 2017 roku przez amerykańską aktorkę Jessicę Hecht wspólnie z producentką teatralną Jenny Gersten. The Campfire Project zajmuje się organizowaniem terapeutycznych programów artystycznych i wsparcia psychicznego dla uchodźców, osób ubiegających się o azyl oraz dzieci dotkniętych skutkami wojen i kryzysów na całym świecie. Organizują wyjazdy do obozów dla uchodźców i regionów kryzysowych. Prowadzą zajęcia z zakresu tańca, teatru, muzyki i rysunku, które pomagają radzić sobie z traumą.

– Z pewnością mieliśmy ogromne szczęście, że nas znaleźli – powiedziała Mariana Iwanowicz, prezes Centrum Edukacji Transgranicznej w Nahaczowie. – Zostaliśmy im poleceni przez naszych byłych partnerów.

Mariana Iwanowicz ma doświadczenie w pracy z dziećmi, zarówno lokalnymi, jak i pochodzącymi ze strefy przyfrontowej, które organizacja Folkowisko zaprasza na obozy do Polski.

– Uzgodniliśmy z dyrektorem szkoły, że będą się tam odbywać zajęcia, a także ustaliliśmy kwestię wyżywienia dzieci – mówiła dalej Mariana Iwanowicz.

– Cały program edukacyjny



JESSE EISENBERG NA SZKOLNEJ SCENIE

przygotowała organizacja The Campfire Project. Całkowicie im zaufałam, bo wiedziałam, że wszystko zorganizują tak, jak trzeba. I wszystko poszło dobrze. To wszystkie dzieci ze wsi Nahaczów. Jest to dość duża wieś – do szkoły uczęszcza 500 dzieci, ale do obozu udało nam się zaprosić tylko 80, w wieku od 6 do 15 lat. Wśród nich są dzieci z rodzin wielodzietnych, a także takie, których rodzice walczą na froncie. Nie dokonywaliśmy specjalnej selekcji, tylko przyjęliśmy tych, którzy szybciej się zarejestrowali. Zajęcia odbywały się od poniedziałku do piątku. Pracowaliśmy od godziny 10:00 do 13:30. W ciągu dnia dzieci uczestniczyły w trzech różnych zajęciach: z fotografii, tańca, a także dramaturgii i teatru. Na każdych zajęciach w ciągu tygodnia przygotowywały numer, który dzisiaj zaprezentowały podczas spotkania finałowego.

Pierwszy z wolontariuszy, kogo spotykam w szkole to Kostas Follas. Pochodzi z rodziny greckiej, która osiedliła się w Polsce. Od lat mieszka i rozwija swoją karierę artystyczną w USA, współpracując z nowojorskim środowiskiem artystycznym powiązanym z założycielką The Campfire Project. Reżyser i dokumentalista, podczas misji w Nahaczowie zarządzał akcją, w której ukraińskie dzieci otrzymały swoje



pierwsze aparaty fotograficzne. Na korytarzu i klatce schodowej można było zobaczyć całą galerię ich pierwszych prac.

W Nahaczowie obecna była również założycielka i liderka The Campfire Project, znana amerykańska aktorka Jessica Hecht. Pracowała ona na miejscu z dziećmi ramię w ramię z pozostałymi wolontariuszami. Zapytana o sens prowadzenia takich warsztatów w cieniu trwającej wojny, wyjaśniła:

– Wiele osób uwielbia tworzyć: grać na scenie, śpiewać, tańczyć czy malować. Przyjeżdżamy więc w strefy konfliktów i staramy się jednoczyć ludzi wokół twórczości. Pod względem efektów przypomina to psychoterapię.

Alexandra Zaslav, terapeutka zajęciowa oraz artystyczna zaangażowana w programy wsparcia psychicznego bacznie obserwuje dzieciaków pod kątem ich stanów emocjonalnych.

– Ukraińskie dzieci, z którymi pracowaliśmy, są niesamowicie ciepłe i otwarte

– zaznaczyła. – Ogólnie rzecz biorąc, w warunkach wojny, konfliktów czy nieustannego stresu, dzieci bardzo potrzebują zwyczajnych, normalnych momentów w życiu. Doświadczeń, które przynoszą radość i pomagają poczuć wsparcie.

– Chcemy, aby Ukraińcy wiedzieli, że ich los naprawdę nie jest nam obojętny – dodał Igor Golyak. – Urodziłem się tutaj, dlatego mój przyjazd ma szczególne znaczenie. Część mnie traktuje to miejsce jak swój dom.

Jesse

O przyjeździe hollywoodzkiej gwiazdy do ostatniej chwili nie wiedzieli nawet współorganizatorzy ze strony ukraińskiej. Marianna Iwanowicz z uśmiechem opowiedziała:

– Z The Campfire Project wysłano mi zdjęcia wolontariuszy. Spojrzałam i pomyślałam: „No tak, znam tego człowieka... Coś tu jest nie tak. Przybliżyłam zdjęcie i zorientowałam się: O, jedźcie do nas Jesse Eisenberg.

42-letni Jesse Eisenberg jest najbardziej znany z roli Marka Zuckerberga w filmie The Social Network (2010), która przyniosła mu nominację do Oscara, Złotego Globu oraz nagrody BAFTA.

„Prawdziwy ból” (A Real Pain, 2024) to jego autorski komediodramat, który Eisenberg nie tylko napisał i wyreżyserował, ale także zagrał w nim główną rolę u boku Kierana Culkina. Film opowiada o dwóch amerykańskich kuzynkach podróżujących po Polsce (m.in. przez Warszawę, Lublin i Krasnystaw) śladami swojej zmarłej babci. Fabuła mocno nawiązuje do osobistych korzeni samego aktora. Film stał się międzynarodowym hitem kin niezależnych, zdobywając zachwyt krytyków, nagrody (m.in. za scenariusz na festiwalu Sundance) oraz nominację do Oscara.

W 2025 roku otrzymał polskie obywatelstwo.

– Moi przodkowie pochodzą z województwa lubelskiego – powiedział w naszej rozmowie. – Podczas II wojny światowej moja kuzynka mieszkała we Lwowie. Przyjęła ją pod swój dach katolicka rodzina, która uratowała jej życie. Dlatego ziemia lwowska zawsze miała szczególne znaczenie dla mojej rodziny. Poczuję, że po prostu musiałem tu przyjechać – mówił aktor.

Rolą Jesse’ego w Nahaczowie było filmowanie i fotografowanie wszystkiego, co się działo na warsztatach. Rejestrował pracę terapeutów i ułamki sekund, w których na twarzach dzieci pojawiał się uśmiech.

– Wydaje mi się, że oni nie do końca wiedzą, kim jestem – zauważył. – Po prostu ktoś im powiedział: „On jest znany, idźcie z nim porozmawiać”. Mają więc tylko takie ogólne poczucie, że jestem jakąś ważną osobą.

Na początku nie bardzo wierzyli dzieciom, że do Nahaczowa przyjechała tak znana



postać. Maluchy robiły sobie zdjęcia z Jesse'm i pokazywały je bliskim – dopiero wtedy dorośli upewniali się, że to naprawdę on. Wkrótce we wsi rozmawiano już tylko o hollywoodzkim aktorze. Mieszkańcy natychmiast zaczęli szukać w internecie filmów z jego udziałem, a po seansach prosili go o autografy.

– Tak jak mówił Jesse, dzieci do samego końca nie uświadamiały sobie, kim on jest – zgadza się Marianna Iwanowicz. – Traktowały go jak zwykłego nauczyciela, przeciętnego obcokrajowca, który robił im zdjęcia, przynosił jedzenie w stołówce i bawił się z nimi. Nie było z ich strony żadnego efektu: „wow”. Zapewne kiedy dorosną, zrozumieją więcej i wtedy będą zachwycone tym, że w dzieciństwie spotkały Jesse'ego. To będzie ich niezapomniana pamiątka na całe życie.

Zanim ekipa zamknęła się z dziećmi w Nahaczowie, Jesse zaliczył jeszcze ukrytą, sentymentalną wizytę we Lwowie. Kto widział go wtedy na lwowskiej starówce, musiał przeżyć absolutne déjà vu. W skromnym ubraniu, wyglądał dokładnie tak samo, jak grany przez niego David w filmie „Prawdziwy ból”, gdzie poszukiwał w Polsce śladów swojej ocalałej z Holocaustu babci. Wtedy we Lwowie panował jeszcze spokój, choć tragiczny, rosyjski ostrzał rakietowy miał spaść na miasto niedługo w nocy. Rosja przeprowadziła



zmasowany atak na Ukrainę, w tym na obwód lwowski.

– Obudził nas alarm. Zeszliśmy do schronu, a rano zobaczyłem skutki ostrzału. To było druzgocące, potworne, oburzające i tragiczne. Pomyślałem: co by było, gdyby bombardowano Nowy Jork, gdyby bombardowano mój dom? Lwów bardzo przypomina mi miasto, w którym mieszkam. To po prostu łamie mi serce – powiedział Jesse Eisenberg.

Ekipa wolontariuszy The Campfire Project mogła wrócić przez pobliskie przejście graniczne do Polski, jednak wszyscy pozostali w Nahaczowie. Podczas warsztatów dramatycznych zdolny miejscowy chłopak Romczyk napisał sztukę teatralną. Jako autor i reżyser przedstawienia zaprosił Jessego Eisenberga do roli „Trzeciego Przyjaciela”. To również wydarzyło się spontanicznie. Coś

niesamowitego. Na szkolną scenę w ukraińskiej wsi, obok dziecięcych aktorów, wszedł również gwiazdor Hollywood. Skromnie usiadł na krześle, by zagrać swoją nową rolę – i to w dodatku po ukraińsku.

Jesse Eisenberg przez rok uczył się cyrylicy, aby móc chociaż przeczytać swoje kwestie po ukraińsku.

– Szczerze mówiąc, nie jestem zbyt dobrym aktorem, kiedy gram po ukraińsku. Proszę, obejrzyjcie mnie w jakimś amerykańskim filmie, żebyście zobaczyli, że tak naprawdę potrafię grać – żartował z ludźmi po spektaklu.

To były wyjątkowe pięć dni Nahaczowie.

– Wiemy, że we Lwowie czy innych dużych miastach działa wiele organizacji pozarządowych i wolontariuszy, którzy pracują z dziećmi i im pomagają – podsumowywała



JESSE EISENBERG I KONSTANTY CZAWAGA

w wywiadzie dla Kuriera Marianna Iwanowicz. – Do wsi jednak rzadko ktoś przyjeżdża, żeby zająć się najmłodszymi. Myślę, że Jesse znalazł w Nahaczowie inspirację do swojej dalszej pracy twórczej. Być może kiedyś zobaczymy tego efekty.

Chcę podziękować organizacji The Campfire Project. Przede wszystkim za przyjaźń. Staliśmy się przyjaciółmi, a nie tylko partnerami. Dziękuję im również za ludzkie podejście, prostotę, za to, że odważyli się tutaj przyjechać oraz za ich wsparcie dla Ukrainy.

PZPiT „Lwowiacy” na Festiwalu Kultury Kresowej w Mrągowie

W dniach 6–9 sierpnia Polski Zespół Pieśni i Tańca „Lwowiacy” wziął udział w 31. Festiwalu Kultury Kresowej w Mrągowie. Po wielu latach ponownie mieliśmy okazję zaprezentować się na festiwalowej scenie i reprezentować Polaków ze Lwowa.

Do tego wyjazdu szykowaliśmy się przez wiele tygodni.

Liczne próby i praca nad programem pozwoliły nam jak najlepiej przygotować się do spotkania z publicznością oraz innymi zespołami kresowymi.

Jednym z wydarzeń festiwalu była Kresowa Potańcówka, którą PZPiT „Lwowiacy” miał przyjemność prowadzić wspólnie z Kapelą Wileńską. Był to wieczór pełen muzyki, tańca i wspólnej zabawy, który

zgrupował uczestników festiwalu i publiczność.

Szczególnym momentem był Koncert Galowy 8 sierpnia w Amfiteatrze nad jeziorem Czos. Mieliśmy zaszczyt rozpocząć ten wyjątkowy koncert polonezem, jednym z najbardziej rozpoznawalnych polskich tańców narodowych. Był to dla nas szczególny moment – stanąć na dużej festiwalowej scenie i rozpocząć koncert, który zgromadził zespoły kresowe z różnych stron.

Kolejnego dnia, 9 sierpnia, podczas koncertu kończącego 31. Festiwal Kultury Kresowej, PZPiT „Lwowiacy” ponownie wystąpił przed publicznością, przedstawiając przygotowany program artystyczny.

Wyjazd do Mrągowa był dla PZPiT „Lwowiacy” ważnym wydarzeniem i długo wyczekiwany powrót na festiwalową scenę. Był także okazją do spotkania z innymi zespołami kresowymi, wymiany doświadczeń i wspólnego przeżywania polskiej kultury. Do Lwowa wracamy z pięknymi wspomnieniami i nową energią do dalszej pracy.

RENATA KUPYCZ-DURYS

Polski wolontariusz zginął w Ukrainie



– Polski wolontariusz zginął w Ukrainie w wyniku rosyjskich działań zbrojnych – poinformował rzecznik Ministerstwa Spraw Zagranicznych Maciej Wewiór. Polska placówka dyplomatyczna zapewnia rodzinie zmarłego niezbędne wsparcie konsularne.

Informację o śmierci Polaka przekazał na platformie X rzecznik MSZ Maciej Wewiór:

„Z głębokim żalem potwierdzamy informację o śmierci polskiego wolontariusza, który zginął w Ukrainie w wyniku rosyjskich działań zbrojnych” – poinformował. Rzecznik złożył najgłębsze wyrazy współczucia bliskim zmarłego. Zaaapelował jednocześnie o uszanowanie

prywatności rodziny w tym niezwykle bolesnym czasie.

Jak informuje Wirtualna Polska zmarłym jest Marek Russek-Wolski. O śmierci polskiego wolontariusza poinformowano 30 lipca na profilu grupy „Razem dla Ukrainy”, której był administratorem. Wyjaśniono, że został on śmiertelnie trafiony przez rosyjski dron w Charkowie około 27 lipca. Z profilu Polaka na Facebooku wynika, że często jeździł on do Ukrainy z ładunkami pomocy humanitarnej. Przekazywał je mieszkańcom miejscowości, znajdujących się w pobliżu linii frontu.

ŹRÓDŁO: AGATA SUCHARSKA, INTERIA.PL



Mariusz Polowy i jego fascynacja spuścizną literacką Wacława Żmudzkiego

Mariusz Polowy, nauczyciel języka polskiego w Szkole Podstawowej nr 5 w Biłgoraju na Lubelszczyźnie, po raz kolejny odwiedził w kwietniu 2026 roku Cmentarz Łyczakowski we Lwowie. Cel tej wizyty był bardzo konkretny – grób Wacława Żmudzkiego, którym od lat opiekuje się Biłgorajskie Towarzystwo Literackie.

JURIJ SMIRNOW

Wacław Żmudzki urodził się 14 sierpnia 1870 roku w Rudniku koło Krasnegostawu. Wkrótce po jego narodzinach rodzina przeprowadziła się do Biłgoraja. Choć dzieciństwo i młodość spędził na Zamojszczyźnie, całe dorosłe życie związał ze Lwowem. Osiedlił się tutaj w 1896 roku, zrobił karierę zawodową, zdobył uznanie jako bankowiec i literat, a po śmierci w 1924 roku został pochowany na Cmentarzu Łyczakowskim. Z biegiem lat jego nazwisko zniknęło jednak niemal całkowicie z pamięci mieszkańców miasta.

Pamięć o nim postanowili przywrócić pasjonaci historii z Biłgoraja.

– Gdy po raz pierwszy przyjechalśmy na Łyczaków, odnalezienie grobu było niezwykle trudne – wspomina Mariusz Polowy. – Mogiła znajdowała się wśród samosiejek, była zniszczona i niemal niewidoczna.

Grób Wacława Żmudzkiego i jego żony Marii z Parniewskich znajdował się tuż przy murze Cmentarza Orląt. Wiele dawnych polskich pochówków w tej części nekropolii zostało już zastąpionych nowymi grobami. Miejsce udało się uratować dosłownie w ostatniej chwili.

Stan nagrobka był bardzo zły. Pozostały jedynie fragmenty dawnego pomnika oraz zachowana metalowa tabliczka Marii Żmudzkiej. Biłgorajskie Towarzystwo Literackie przygotowało projekt odnowienia grobu, a środki na realizację przedsięwzięcia zebrano podczas społecznej zbiórki w Biłgoraju. Dzięki temu miejsce pochówku odzyskało godny wygląd i zostało na nowo wpisane w krajobraz historyczny Łyczakowa.

Po śmierci męża Maria Żmudzka pozostała we Lwowie. Nie wyjechała do Polski po II wojnie światowej i zmarła tutaj w 1964 roku. Dopóki żyła, troszczyła się o grób męża. Później miejsce stopniowo popadało w zapomnienie. Dopiero starania członków Biłgorajskiego Towarzystwa Literackiego pozwoliły przywrócić mu należyty wygląd. Odnowiony pomnik został uroczystie poświęcony we wrześniu 2014 roku.

Jak podkreśla Mariusz Polowy, ogromne zasługi w przywracaniu pamięci o Żmudzkim miał regionalista Andrzej Czacharowski.

– To właśnie on zainteresował się jego życiem i twórczością. Dzięki jego pasji udało się rozpocząć badania nad życiem człowieka, o którym wcześniej wiadomo było zaledwie kilka zdań – mówi.

Wyniki poszukiwań okazały się niezwykle interesujące. Po ukończeniu



WACŁAW ŻMUDZKI

gimnazjum Wacław Żmudzki studiował prawo na Cesarskim Uniwersytecie Warszawskim. W 1894 roku został wydalony z uczelni za udział w patriotycznej manifestacji związanej ze stuleciem insurekcji kościuszkowskiej i zesłany w głąb Rosji. Po odbyciu kary kontynuował naukę w Dorpacie. Tam aktywnie działał w środowisku polskiej młodzieży akademickiej i stanął na czele Koła Młodzieży Polskiej.

Po konflikcie z jednym z profesorów opuścił Dorpat i schronił się we Lwowie. Tutaj znalazł pomoc u poety i publicysty Zdzisława Dębickiego. Pod jego wpływem rozpoczął działalność literacką.

Równocześnie rozwijała się jego kariera zawodowa. Najpierw pracował w Banku Zaliczkowym, a następnie współtworzył Galicyjski Bank Kupiecki, jedną z największych polskich instytucji finansowych w Galicji. Na jego czele stał znany lwowski przedsiębiorca Edmund Riedel, zaś Żmudzki objął stanowisko jednego z dyrektorów.

Był to okres największych sukcesów zawodowych bohatera. Bank wspierał rozwój polskiego handlu i przedsiębiorczości, a jego działalność wykraczała daleko poza sam Lwów. Wydawało się, że kariera Żmudzkiego będzie rozwijać się bez przeszkód.

Przerwały ją wydarzenia związane z upadkiem monarchii austro-węgierskiej oraz walkami o Lwów w listopadzie 1918 roku. Wacław Żmudzki działał w Polskim Komitecie Narodowym, a jego żona Maria angażowała się w pomoc rannym i rodzinom legionistów.

Największy dramat dotknął jednak rodzinę w związku z losem ich jedynego syna.

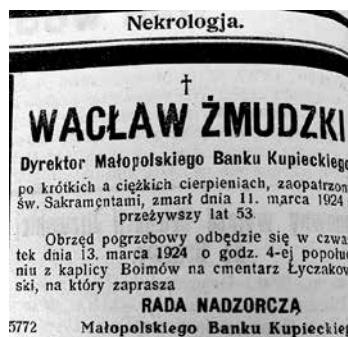
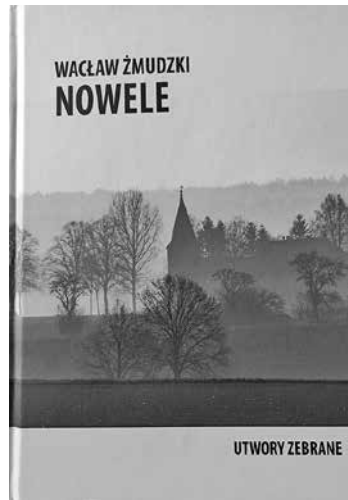
Wacław Feliks Żmudzki miał zaledwie szesnaście lat, gdy zgłosił się do obrony miasta. Podobnie jak wielu uczniów lwowskich gimnazjów wstąpił do jednego z polskich oddziałów. 18 listopada 1918 roku został pojmany przez żołnierzy ukraińskich i przewieziony

do obozu w Złoczowie. Tam ciężko zachorował i zmarł.

Według zachowanych relacji do końca zachował przytomność umysłu. Kiedy do szpitala dopuszczono księdza, podał swoje nazwisko oraz dane rodziców, aby mogli dowiedzieć się o jego losie. Dla rodziny była to tragedia, z którą nigdy się nie pogodzono.

Rodzice przez długi czas nie wiedzieli, co stało się z synem. Walki uniemożliwiały kontakt pomiędzy Lwowem a Złoczowem. Informacje o losie młodego obrońcy miasta przywozły dopiero uczestniczki misji humanitarnej odwiedzającej obozy dla internowanych Polaków.

Były to Maria Dulębianka, Teodora Dzieduszycka i Maria Opieńska. W niezwykle trudnych warunkach podróżowały przez tereny objęte działaniami wojennymi, zbierając informacje o więźniach, organizując pomoc i przekazując wiadomości rodzinom. Po powrocie do Lwowa zostały przyjęte jak



bohaterki. Wkrótce okazało się jednak, że podczas wyprawy zaraziły się tyfusem. Dulębianka i Dzieduszycka zmarły kilka dni później.

Ich groby znajdują się dziś na Cmentarzu Orląt. Niedaleko spoczywa również Wacław Feliks Żmudzki, jeden z najmłodszych obrońców miasta.

Po zakończeniu wojny Wacław Żmudzki powrócił do działalności bankowej. Wkrótce jednak jego karierę złamała tak zwana afera Banku Kupiectwa Polskiego. Śledztwo dotyczące nieprawidłowości finansowych objęło kierownictwo banku. Choć sąd wymierzył Żmudzkemu jedynie karę grzywny, a jego odpowiedzialność była znacznie mniejsza niż głównych oskarżonych, sprawa odbiła się szerokim echem i poważnie zaszkodziła jego reputacji.

O sprawie szeroko rozpisywała się ówczesna prasa lwowska i warszawska.



MARIUSZ POLOWY PRZY GROBIE WACŁAWA ŻMUDZKIEGO

„Słowo Polskie” oraz „Wiek Nowy” publikowały informacje z procesu, podkreślając różnice w odpowiedzialności poszczególnych oskarżonych. W przypadku Żmudzkiego sąd ograniczył się do kary grzywny, co wskazywało, że jego udział w nieprawidłowościach miał charakter bardziej formalny niż rzeczywisty. Nie zmieniało to jednak faktu, że dla człowieka zajmującego wysokie stanowisko w świecie finansów sam udział w głośnym procesie oznaczał poważny cios wizerunkowy.

Objął jeszcze stanowisko dyrektora Małopolskiego Banku Kupieckiego, lecz nie odzyskał już dawnej pozycji. Trudne doświadczenia, śmierć syna i problemy zawodowe odbiły się na jego zdrowiu.

11 marca 1924 roku zmarł w wieku 53 lat. „Kurier Lwowski” przypomniał wówczas, że był nie tylko cenionym bankowcem, ale także autorem kilku powieści i nowel. Pogrzb odbył się na Cmentarzu Łyczakowskim.

Przez kolejne dziesięciolecia pamięć o nim stopniowo zanikała. Dopiero działania Biłgorajskiego Towarzystwa Literackiego przywróciły należne miejsce zarówno jego osobie, jak i twórczości.

Mariusz Polowy nie ograniczył się do ratowania nagrobka. W trakcie wieloletnich badań odnalazł rozproszone publikacje literackie Żmudzkiego drukowane przed I wojną światową. Wy magało to żmudnych kwerend bibliotecznych i archiwalnych. Efektem tej pracy było wydanie w 2018 roku książki „Wacław Żmudzki. Nowele. Utwory zebrane”, zawierającej odnalezione teksty oraz opracowanie biografii autora.

Wśród odnalezionych utworów znalazły się nowele i opowiadania publikowane przed I wojną światową. Autor poruszał w nich problemy społeczne, psychologiczne i obyczajowe charakterystyczne dla literatury przełomu XIX i XX wieku. Choć nie zdobył rozgłosu porównywalnego z największymi twórcami swojej epoki, pozostawił interesujący dorobek literacki, który pozwala lepiej zrozumieć atmosferę tamtych czasów.

Badania przyniosły również interesujące odkrycia. Po śmierci Żmudzkiego funkcję dyrektora Małopolskiego Banku Kupieckiego objął dr Bolesław Herbert, ojciec Zbigniewa Herberta. Kilka lat później rodzina przyszłego poety zamieszkała w dawnym mieszkaniu Żmudzkich przy ulicy Obozowej we Lwowie.

Dziś nazwisko Wacława Żmudzkiego wraca do pamięci dzięki pracy ludzi, którzy nie pozwolili, by jego losy zostały zapomniane. Odnowiony grób na Łyczakowie i wydane na nowo utwory przypominają postać człowieka, którego życie splotło się z historią Lwowa, Biłgoraja i dawnej Galicji.

Galeria wybitnych lwowskich szachistów

Izaak Appel – „szachowy król polskiego Manchesteru”

Od połowy lat dwudziestych był jednym z najlepszych łódzkich i lwowskich graczy, w latach trzydziestych należał do czołówki polskich szachistów. Reprezentant Polski w turniejach drużynowych.

ŁARYSA PŁACHOTNA
OLEKSANDR PROKHOROV

Izaak Appel urodził się w styczniu 1905 roku w Łodzi. Znany historyk polskich szachów Stefan Gawlikowski w monografii „Złota era polskich szachów” zaznacza, że Appel już jako dziewiętnastolatek grał w turnieju przedolimpijskim w Łodzi (III miejsce). Następnie trzykrotnie (w latach 1928 1929, 1930, 1932) wygrywał mistrzostwa swego miasta. W roku 1930 po kolejnym sukcesie dostaje nieoficjalny tytuł „szachowy król polskiego Manchesteru”. Polski Manchester to potoczna nazwa Łodzi, nadany jej ze względu na dynamiczny rozwój przemysłu włókienniczego w XIX wieku. Miasto słynęło z licznych fabryk, kominów i wielokulturowego charakteru.

Pewną nagrodą za miejsce liderstwa była organizacja w 1928 roku pokazu gry symulacyjnej z udziałem mistrza świata Aleksandra Alechina i najlepszych łódzkich szachistów przez ŁTZGS (Łódzkie Towarzystwo Zwoleńników Gry Szachowej), a w 1932 roku pomiędzy Appelem a wielokrotnym mistrzem ze stolicy Paulinem Frydmanem, z którym Appel sensacyjnie wygrywał z przewagą w jednej partii. Dlatego był zaproszony do turnieju przedolimpijskiego, gdzie zajmuje II miejsce. Olimpiada 1932 roku odbyła się w mieście Folkestone (Wielka Brytania). Grał na IV szachownicy (6.5 punktów). Pod koniec zabrakło mu siły. Polska drużyna zajęła wysokie IV miejsce, niestety bez nagrody i był to jedyny przypadek, w którym Polacy nie zdobyli medalu.

W 1932 roku ŁTZGS wysyła go na turniej międzynarodowy



SZACHIŚCI: KAZIMIERZ MAKARCZYK (OD LEWEJ), TEODOR REGEDZIŃSKI I IZAAK APPEL W TOWARZYSTWIE PASAŻERKI W DRODZE NA 5. OLIMPIADĘ SZACHOWĄ W FOLKESTONE

do Sopotu. Nie odniósł sukcesu, uległ warszawiakowi Paulinowi Frydmanowi, który tam zwyciężył. Zrewanżował się jemu później w meczu mistrzów Warszawy i Łodzi.

Księga jubileuszowa ŁTZGS opisuje wrażenie autorów Daniszewskiego i Mundta: „Gdy w 1932 roku Appel po raz trzeci zdobywał mistrzostwa miasta, towarzystwo, chcąc dać temu ambitnemu mistrzowi możliwość zmierzenia się z jednym z najsilniejszych szachistów Polski, urządza mecz między nim a najbardziej utalentowanym z młodej polskiej generacji mistrzowskiej, wielokrotnym

czempionem stolicy, Paulinem Frydmanem. Mecz ten, którego przebieg śledziły z wielkim zainteresowaniem liczne rzesze szachistów polskich, przyniósł zwycięstwo Applowi”. Inne zdanie o jego grze: „Appel ma zdrowy pogląd na pozycję, w instynkcie strategicznym i pomysłowości”.

Na olimpiadę szachową 1936 roku wybrano Monachium. Polityka rasistowska III Rzeszy w tym m.in. restrykcje wobec żydów doprowadziła do tego, że polscy szachiści żydowskiego pochodzenia, w tym Izaak Appel, Achilles Frydman, Jakub Kolski ze względu na ustawy

Gambit Hetmański

A. Alechin — I. Appel, Łódź 1928 r., 1. d4 Sf6 2. Sf3 d5 3. c4 c6 4. Sc3 e6 5. Gg5 Sbd7 6. Hc2 Ha5 7. Gd2 Hd8 8. e4 de4 9. S: e4 Ge7 10. Gd3 b6 11. 0-0 Gb7 12. Wfe1 Hc7 13. Wad1 0-0 14. Sg3 Wfe8 15. Sg5 Sf8 16. Sh5 Sg6 17. G: g6 hg6 18. Sf4 Gd6 19. S: g6 fg6 20. H: g6 We7 21. We4 Hd7 22. Wh4 He8 23. Hd3 Wf7 24. Hh3 i czarne poddały się.

norymberskie, wydali oświadczenie, że „odmawiają gry” ze względu na całokształt kultury w Niemczech. Niektóre pisma zapowiedziały, że nie będą informować o olimpiadzie.

W drugiej połowie lat 30. Apple gorzej występuje w mistrzostwach Polski i nie dostaje się do kadry narodowej na olimpiadę warszawską. W sumie został sześciokrotnym mistrzem Łodzi. Najwyższy ranking FIDE w karierze – 2532, najwyższe miejsce – TOP 83 (czerwiec 1940).

Nie poddał się tymczasowym porażkom. W wielkim festiwalu wielkanocnym premier Reserves w Margate (Anglia) zajmuje III miejsce (szachy błyskawiczne) przed Paulem Keresem i mistrzem świata Aleksandrem Alechinem (wygrywa u niego). Swoje wrażenia opisuje w „Gazecie Porannej”: „Były to chyba pierwszy w historii polskiej prasy codzienne relacje z turnieju szachowego”.

Zdobywa IV miejsce na mistrzostwach Polski w Juracie, a więc znowu zdobywa miejsce w drużynie olimpijskiej tym razem w szwedzkim Sztokholmie (1937 rok). Zyskał 9 punktów z 14 partii, brązowy medal. Grał wspaniale, chociaż, jak zawsze, początek turnieju wypadł mu znacznie lepiej.

W 1939 roku miała się odbyć olimpiada w w stolicy Argentyny Buenos Aires. Ponieważ członek kadry Teodor Regedziński pochodził z Łodzi, pierwszym rezerwowym został Franciszek Sulik ze Lwowa. A więc, losy Appela i innych szachistów spośród Polaków Żydów z kadry narodowej mogły potoczyć się całkiem inaczej...

Na początku 1939 zwyciężył w ostatnich przedwojennych mistrzostwach Łodzi.

Po wybuchu drugiej wojny światowej Łódź weszła do III

Rzeszy w granicach tak zwanego Kraju Warty. Władze hitlerowskie nadały Łodzi status miasta wydzielonego. Główna łódzka ulica Piotrkowska została przemianowana na Adolf Hitler Strasse. Podczas okupacji w lesie koło Łuźmierza Niemcy zamordowali około trzydzieści tysięcy osób. Byli to głównie więźniowie narodowości polskiej i żydowskiej z getta.

We wrześniu 1939 roku Izaak Appel postanowił uciekać z Łodzi.

Jest przypuszczenie, że chciał dostać się do Drohobycza, gdzie miał rodzinę, ale w końcu znalazł się we Lwowie. Pierwsze imprezy szachowe we Lwowie odbyły się w styczniu 1940 roku. Razem z kilkoma szachistami wstąpił do sowieckiego wojskowego klubu Spartak, ponieważ polskie kluby szachowe Hetman i Lwowski Klub Szachistów sowieci zlikwidowali. Wystąpił w kilku turniejach, zorganizowanych na okupacyjnych terenach: w 1940 w mistrzostwach Ukraińskiej SSR, w 1941 roku – w mistrzostwach Lwowa.

Izaak Appel po zajęciu Lwowa przez Niemców zaginął, jego los do tej pory nie jest znany. Do dnia dzisiejszego nie udało się ustalić żadnej informacji o kilku szachistach, w tym, na przykład, Izaaka Appela i mistrza Lwowa Edwarda Gerstenfelda. Czy zostali wywiezieni na wschód albo zginęli we lwowskim getcie? Przykro jest, że utraciono szansę dowiedzieć się o dwukrotnym olimpijczyku, medalistcie olimpiady w Sztokholmie, jednym z najciekawszych polskich szachistów. Profesor T. Wolsza cytuje opublikowane przez znane lwowskie czasopismo „Szachista”: „Appel jest to gracz wysokiej klasy, który logiczną grą wywalczył zaszczytny tytuł”. Miał tylko 36 lat.

Mikula — I. Appel, Łódź 1939 r., 1. d4 c5 2. d5 e5 3. c4 d6 4. Sc3 g6 5. e4 Gg7 6. Gd3 Sd7 7. Ge3 Se7 8. Sge2 f5 9. f4 0-0 10. 0-0 ef4 11. S: f4 Se5 12. Ge2 fe4 13. S: e4 Sf5 14. Gd2 He7 15. Wc1 Gd7 16. b3 Wae8 17. Sd3 Sf7 18. Gf3 Gd4+ 19. Kh1 Sh4 20. Sg3 S: f3 21. H: f3 Hh4 22. Hf4 Gg4 23. Wce1 g5 24. Sf5 H: e1 25. G: e1 gf4 26. S: d4 cd4 i białe poddały się.

WOLSKA, SŁOWNIK BIOGRAFICZNY SZACHISTÓW POLSKICH, VOL 4, 2003

Rosjanie odczuli na własnej skórze wojnę

– Byliśmy na plaży, nie zdążyliśmy uciec. Padliśmy za występem skalnym, osłoniliśmy się leżakami i nie widzieliśmy, gdzie nastąpił wybuch – przeklinali swój los turyści. Słychać było strzały z karabinów maszynowych, próbującej chronić kurort przed

dronami. Nie wiadomo, jaki był jego cel, ale pilnie strzeżony, pałac Putina jest zaledwie 20 km dalej wzdłuż wybrzeża.

Inny świadek: „Gdy parkowaliśmy, widzieliśmy tłumy opuszczające plażę i odjeżdżające samochody. Zadzwoń znajomy i powiedział, że musimy uciekać, bo rozbił się dron. Widzieliśmy mężczyznę z zakrwawionym ramieniem”.

– W Gelendzyku doszło do tragedii – mówi gubernator Kraju Krasnodarskiego Weniain Kondratjew, sugerując, że na ziemię spadły szczątki drona, co wskazuje na zestrzelenie kamikadze. – We wsi Archipo-Osipowka trzy osoby zginęły po upadku szczątków drona. Trzydzieści innych osób zostało rannych – dodał. Ukraińskie źródło sugerowało, że celem ataku mógł być „prywatny ośrodek” dla rosyjskich inżynierów z zakładów raketowych NPO Maszynostrojenija.

Rosyjscy turyści tłumnie odwiedzają wybrzeże Morza Czarnego w Kraju Krasnodarskim, uważając je za bezpieczniejsze niż okupowany Krym, który stał się strefą zakazaną z powodu ukraińskiej blokady. Mimo to okolicę Gelendzyka były wielokrotnie celem ataków dronów. Rosyjscy turyści wyrażali oburzenie brakiem alarmów. „Żadnych syren. Nic nie zadziało” – mówił jeden z nich. Mer Aleksiej Bogodistow mówił, że ogłosił zagrożenie atakiem dronów, a dziesięć minut później

je odwołał, jednak plażowicze twierdzili, że żadnego ostrzeżenia nie było.

W położonym na klifie pałacu Putina znajduje się drewniany tron, a wcześniej mieściły się tam scena do striptizu i pomieszczenie do tańca na rurze. Obiekt obejmuje 16-kondygnacyjny podziemny kompleks, zbudowany w klifie tak, aby wytrzymać atak nuklearny.

ŹRÓDŁO: KAZIMIERZ SIKORSKI, I.PL

Poturzyca zapisana wierszem i rysunkiem

O niezwykłym albumie z poturzyckich polowań z MELANIĄ DZIEDUSZYCKĄ i URSZULĄ WENCKĄ rozmawia
ANNA GORDIJEWSKA.

Anna Gordijewska: Melanio, zaczniemy od samego albumu. Czym właściwie są „Wspomnienia z poturzyckich polowań” i skąd wzięła się ta niezwykła księga?

Melania Dzieduszycka: Album jest oprawiony w skórę dziką księgą gości Włodzimierza Dzieduszyckiego, który organizował bardzo znane w Galicji polowania. Bycie zaproszonym do Poturzycy było wielkim zaszczytem i z nadzieją czekano na bilecik.

A.G.: A proszę opowiedzieć o samej księdze.

M.D.: Księga powstawała w latach 1870–1896 w pałacu w Poturzycy. Nie wiem, kto wpadł na pomysł, żeby ją założyć. Ciekawe jest natomiast to, czym ta księga z czasem się stała. Znajduje się w niej mnóstwo rysunków, bardzo często satyrycznych, i karyktur autorstwa między innymi Leopolda Starzeńskiego, Jana Aleksandra Fredry, Michała Sozańskiego czy Franciszka Tepy. Pojawia się tam też rysunek Henryka Sienkiewicza, który kilka razy gościł w Poturzycy. Są tam również zabawne utwory wierszowane, z których większość ma charakter satyryczny. Teksty przeplatają się z rysunkami i układają w opowieść nie tylko o polowaniach, ale przede wszystkim o ludziach kochających tradycję i przyrodę i świadomie o nie dbających. Wklejone do albumu okolicznościowe rysunki i wiersze z czasem zaczęły układać się w historię życia towarzyskiego końca XIX wieku.

A.G.: Kiedy patrzy się na tę księgę, można odnieść wrażenie, że jest ona czymś więcej niż zwykłą księgą gości.

M.D.: Zdecydowanie. Profesor Tadeusz Budrewicz w artykule omawiającym album poturzycki użył bardzo ciekawego sformułowania – „pokot wierszy”. Pokot to pojęcie ze słownika myśliwskiego, określające sposób układania upolowanych zwierząt, będący podsumowaniem polowania. Profesor wykorzystał je w odniesieniu do wierszy znajdujących się w albumie, które były owocem i podsumowaniem spotkań towarzyskich w Poturzycy. Bardzo podobna mi się to porównanie, rozszerzyłabym je tylko do „pokotu wierszy i rysunków”.

A.G.: Chcesz opisać te rysunki, kilka przykładów?

M.D.: Włodzimierz Dzieduszycki, podobnie jak wielu z jego gości, aktywnie działał w Sejmie Galicyjskim na rzecz ochrony zwierząt i wprowadzenia okresów ochronnych.

W księdze znajduje się wiele zabawnych rysunków, na których przedstawione są zwierzęta proszące



NA RYSUNKU: W. DZIEDUSZYCKI, W. ZONTAK, J. MATKOWSKI, Z. RIEGER, POLANOWSKI, S. SZEMBEK, A. GOŁUCHOWSKI, T. KOWNACKI, T. DZIEDUSZYCKI, W. KRUSZEWSKI, A. LUBOMIRSKI, L. STARZEŃSKI, 1889

myśliwych o opiekę. Pojawiają się lisy, zające i ptaki z petycjami. W wielu miejscach znajdziemy również żarty z „pryncypała”, jak był często nazywany Włodzimierz, i jego ornitologicznej pasji.

A.G.: Chcemy też powiedzieć o losach tego albumu. Gdzie powstał, a później gdzie się znajdował?

M.D.: Do początku XX wieku album znajdował się jeszcze w pałacu w Poturzycy. Później być może trafił do Muzeum Dzieduszyckich we Lwowie przy ulicy Teatralnej 17. Do dzisiaj jest tam przechowywany inny album pt. „Dziennik łowiecki 1887”. Od II wojny światowej „Wspomnienia z poturzyckich polowań” znajdują się we Lwowskiej Bibliotece im. Wasyła Stefanyka.

Na ślad albumu natrafił prof. Kazimierz Karolczak, który w latach 90. XX wieku przyjeżdżał do Lwowa w poszukiwaniu materiałów do książki o rodzinie Dzieduszyckich i, szczęśliwym zbiegiem

okoliczności odnalazł go w Dziale Sztuki Biblioteki Stefanyka. Opisał go później w książce Dzieduszyccy. Dzieje rodu oraz artykule „Łowy poturzyckie”.

A.G.: Teraz chciałabym porozmawiać o konserwacji. Urszulo, proszę opowiedzieć, z jakim obiektem mamy tutaj do czynienia.

Poturzyca, dziś Potorycia (ukr. Поториця), położona nad Bugiem, w pobliżu Sokala, w XIX wieku była jednym z ważnych miejsc związanych z rodziną Dzieduszyckich. To tutaj znajdował się majątek Włodzimierza Dzieduszyckiego – przyrodnika, kolekcjonera, mecenasa sztuki i działacza społecznego. Pałac w Poturzycy był nie tylko miejscem organizowania słynnych polowań. Był przede wszystkim domem rodzinnym, miejscem pracy, spotkań i życia towarzyskiego. Wokół Włodzimierza Dzieduszyckiego gromadzili się ziemianie i arystokraci, ale także artyści, pisarze, naukowcy i politycy. Różnorodność ich zainteresowań i charakter tych spotkań znalazły niezwykle odbicie w albumie „Wspomnienia z poturzyckich polowań”.

Album nie jest zwykłą księgą gości. Na jego kartach zachowały się rysunki, karykatury, akwarele, wiersze i żartobliwe wpisy osób, które odwiedzały Poturzycę. Jednym z utworów jest „Wiwat Poturzyca”, opisujący przyjazd myśliwych, poturzycki dwór, wspólny posiłek i wieczorne spotkanie. To bardzo dobrze pokazuje, że dla uczestników tych wydarzeń równie ważne jak samo polowanie było to, co działo się przed nim i po nim. Poturzyca została więc zapisana nie tylko w dokumentach rodzinnych i źródłach historycznych, ale także w żartobliwych wierszach i rysunkach jej gości.

Konserwacja, digitalizacja i publikacja albumu „Wspomnienia z poturzyckich polowań” są możliwe dzięki dofinansowaniu ze środków Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego pochodzących z Funduszu Promocji Kultury.



Melania Dzieduszycka jest absolwentką polonistyki na Uniwersytecie Warszawskim. Jest redaktorem strony internetowej oraz wydawcą Biblioteki Związku Rodowego Dzieduszyckich herbu Sas, a także sekretarzem Stowarzyszenia Związek Rodowy Dzieduszyckich herbu Sas.



OKŁADKA ALBUMU „WSPOMNIENIA Z POTURZYCKICH POŁOWAŃ”

Urszula Wencka: Album, o którym opowiada Melania, jest bardzo ciekawym obiektem. Można by pomyśleć, że była to księga wyłożona w holu pałacu w Poturzycy, do której wpisywali się goście. Tymczasem tak nie było. Album jest tak zwanym albumem sztucznym. To określenie oznacza książkę o wyglądzie albumu, która powstała już po wykonaniu poszczególnych prac. Najpierw na luźnych kartkach, przez wiele lat, różni rysownicy i karykturzyści wykonywali satyryczne rysunki i pisali wierszyki. Dopiero później powstał album – przypuszczalnie dzieło lokalnego introligatora – oprawiony w skórę, ze sztywnymi kartami, na które naklejono rysunki. Naklejano je w różnym czasie i różnymi klejami, co z konserwatorskiego punktu widzenia ma ogromne znaczenie.

A.G.: Jakie problemy konserwatorskie stwarza taki album?

U.W.: Album jest duży – ma format mniej więcej A3, czyli jest dwukrotnie większy niż A4. Sama wielkość i waga tego obiektu są wyzwaniem. Bezpieczne przemieszczanie takiego zabytku wymaga dużej ostrożności. Album był często oglądany, co również pozostawiło ślady. Skóra jest w wielu miejscach przetarta. Osłabieniu uległo również miejsce połączenia okładki z blokiem książki. Przy częstym otwieraniu takie miejsca zawsze się osłabiają. Poszczególne arkusiki – wiersze, karykatury i rysunki – również noszą ślady swojej wcześniejszej historii. Niektóre były składane na

dwa, cztery czy osiem. Mają zabrudzenia, zagięcia i deformacje.

A.G.: A jak na stan albumu wpłynęły materiały, których używali artyści?

U.W.: To jest kolejny problem. Album powstał w drugiej połowie XIX wieku, kiedy do użycia wchodziły nowe atramenty, tusze i media malarskie. Pojawiały się między innymi wielokolorowe atramenty anilinowe. W momencie, kiedy były używane, były niezwykle atrakcyjne – różowe, fioletowe, granatowe, zielone. Niestety są one niestabilne w środowisku wodnym.

Album z pewnością był w swojej historii przechowywany w nieodpowiednich warunkach. Prawdopodobnie zdarzały się okresy zbyt dużej wilgotności. Karty uległy pofałdowaniu, a cienkie kartki, na których zapisano wierszyki i wykonano rysunki, uległy deformacji. Są także ślady brudnych rąk i wielokrotnego przeglądania. Czasem pojawiają się plamy, być może po szlachetnych trunkach.

A.G.: Czy konserwacja ma przywrócić albumowi pierwotny wygląd?

U.W.: Jeszcze dwadzieścia lat temu taką konserwację przeprowadzano inaczej. Album zostałby całkowicie rozmontowany, a każda kartka dokładnie oczyszczona. Dzisiaj się tego nie robi, ponieważ podczas takiego rozmontowania i późniejszego ponownego zszywania traci się pewną autentyczność obiektu. Stary zabytek ma prawo być trochę pofałdowany, trochę nierówny. Nie powinien natomiast być brudny, ponieważ zabrudzenia sprzyjają dalszym uszkodzeniom. Nie powinien być też podarty czy naddarty.

Przed konserwatorem stało więc bardzo trudne zadanie. Każdy rysunek i każdy wierszyk trzeba było zbadać pod kątem rozpuszczalności zastosowanych mediów. To jest powolny proces. Sprawdza się, czy przy dotknięciu nawilżonym narzędziem ołówek albo atrament pozostawia ślad. Niestety w większości przypadków media są niestabilne, więc wykluczone jest czyszczenie na mokro.

A.G.: Co stanie się z albumem po zakończeniu konserwacji?

U.W.: Projekt zakłada, że zasadnicza konserwacja zakończy się wraz z wykonaniem cyfrowej dokumentacji. Album zostanie zdigitalizowany.



WŁODZIMIERZ DZIEDUSZYCKI NA RYSUNKU AUTORSTWA STEFANA OCZOŃSKIEGO WYKONANYM ATRAMENTEM ANILINOWYM

M.D.: A później planowana jest publikacja elektroniczna, w której znajdą się wszystkie zeskanowane karty. Cały album będzie dostępny w formie cyfrowej na stronach internetowych Biblioteki Stefanyka oraz Związku Rodowego Dzieduszyckich. W publikacji znajdą się artykuły: prof. Kazimierza Karolczaka – o albumie w kontekście historycznym, prof. Tadeusza Budrewicza – ujmujący go z perspektywy historyka literatury, dr Larysy Kupczyńskiej – o losach albumu w Bibliotece Stefanyka, oraz Lesi Dziendzieluk – o procesie konserwacji.

Ważną częścią publikacji będą biogramy około sześćdziesięciu osób, które pojawiają się na kartach albumu oraz transkrypcja znajdujących się w albumie tekstów.

A.G.: A ile właściwie jest stron w tym albumie?

U.W.: Osiemdziesiąt trzy karty, czyli sto sześćdziesiąt sześć stron. Niestety część rysunków zaginęła, więc na niektórych stronach zobaczymy tylko ślady po utraconych pracach

t. Są również strony, na które niczego nie wklejono. Album nie był całkowicie wypełniony. Niestety nie wiemy dokładnie, jakie są straty, ponieważ album nigdy nie został szczegółowo opisany. Kiedy prof. Karolczak trafił na niego w Bibliotece Stefanyka, tych rysunków już tam nie było.

A.G.: Czy digitalizacja oznacza, że oryginalny album przestanie być udostępniany?

U.W.: Oryginał po konserwacji zostanie umieszczony w odpowiednim pudełku i odłożony na półkę. Natomiast dzięki digitalizacji treść – zarówno teksty, jak i rysunki – będzie dostępna dla badaczy, studentów i każdego zainteresowanego. Jeśli pojawi się naukowiec, który będzie potrzebował zbadać fizyczny obiekt – na przykład technologię wykonania rysunków, grubość papieru czy znaki wodne – będzie istniała możliwość kontaktu z oryginałem.

A.G.: Można więc powiedzieć, że konserwacja nie tylko chroni sam przedmiot, ale także pozwala uratować pamięć o pewnym świecie?

M.D.: Tak. I chyba właśnie to jest w tym projekcie najważniejsze. To nie jest wyłącznie zapis polowań w Poturzycy. To zapis historii

pewnej wspólnoty ludzi – ich spotkań, poczucia humoru, zainteresowań, przyjaźni i sposobu patrzenia na świat. W tych rysunkach i wierszach widać, jak ze sobą rozmawiali, jak żartowali, z kogo się śmiali i co ich interesowało. Możemy poznać nie tylko ludzi, którzy uczestniczyli w polowaniach, ale również epokę, w której żyli.

U.W.: Z punktu widzenia konserwatora jest to również wyjątkowe świadectwo tego, jak wiele różnych materiałów i technik może zostać połączonych w jednym obiekcie. Mamy papier, skórę, ołówek, tusz, atramenty, akwarele, rękopisy



WŁODZIMIERZ DZIEDUSZYCKI

i różnego rodzaju kleje. To sprawia, że album jest bardzo wymagającym obiektem konserwatorskim, ale jednocześnie właśnie ta wielowarstwowość czyni go tak interesującym.

A.G.: Czyli „Wspomnienia z poturzyckich polowań” są właściwie spotkaniem historii, literatury, sztuki i historii życia codziennego?

M.D.: Tak, to było wyjątkowo ciekawe i ważne spotkanie i dlatego chcemy, żeby album był dostępny cyfrowo. Oryginał musi być chroniony, ale jego treść powinna być obecna w dyskursie naukowym.

A.G.: A więc prawdziwym „trofeum” okazała się nie zdobycz myśliwska, lecz pamięć utrwalaona na kartach albumu.

M.D.: Myślę, że właśnie tak można to podsumować.

A.G.: Dziękuję serdecznie za rozmowę!



URSZULA WENCKA (OD LEWEJ) I ŁESIA DZIENDZIELUK W PRACOWNI KONSERWATORSKIEJ, LWÓW LIPIEC 2026

Urszula Wencka jest absolwentką Uniwersytetu Wrocławskiego (magisteria z prawa i historii sztuki) oraz Uniwersytetu w Lincoln w Wielkiej Brytanii (konserwacja obiektów historycznych). Od 16 lat pracuje w Dziale Konserwacji Zakładu Narodowego im. Ossolińskich jako starszy konserwator. Jej wielką pasją są stare druki, a zwłaszcza konserwacja rękopisów, rysunków oraz grafik. Sprawuje nadzór konserwatorski nad projektem konserwacji albumu „Wspomnienia z poturzyckich polowań”.



WŁODZIMIERZ DZIEDUSZYCKI, RYS. M. SOZAŃSKI, 1896

Lato w pełni w „Gazecie Lwowskiej”

Lato trwa nadal,
a w gazetach puchy.
„Gazeta Lwowska”
znajduje zawsze czym
przyciągnąć czytelnika.

OPRACOWAŁ
KRZYSZTOF SZYMAŃSKI

Tak rozliczano się z twórcami zwycięstwa w 1920 r.

Generałowie pod sądem

Akt oskarżenia przeciw gen. Malczewskiemu został, już, jak wiadomo, wręczony oskarżonemu. W sprawie gen. Rozwadowskiego śledztwo zostało przez sędziego śledczego ukończono, a akta odeszły do prokuratora, który w najbliższym czasie przygotowuje akt oskarżenia. Natomiast śledztwo przeciw gen. Żymirskiemu, Zagórskiemu i Jaźwińskiemu dotychczas nie zostało ukończono.

„Gazeta Lwowska” informuje jak rząd wspiera nasze miasto w robotach publicznych:

Pieniądze dla Lwowa

Województwo komunikuje: Ministerstwo robót publicznych asygnowało gminie m. Lwowa 80.000 zł. tytułem dalszej raty pożyczki przyznanej jej przez Radę Ministrów w wysokości 600.000 zł. na roboty inwestycyjne, celem zatrudnienia bezrobotnych.

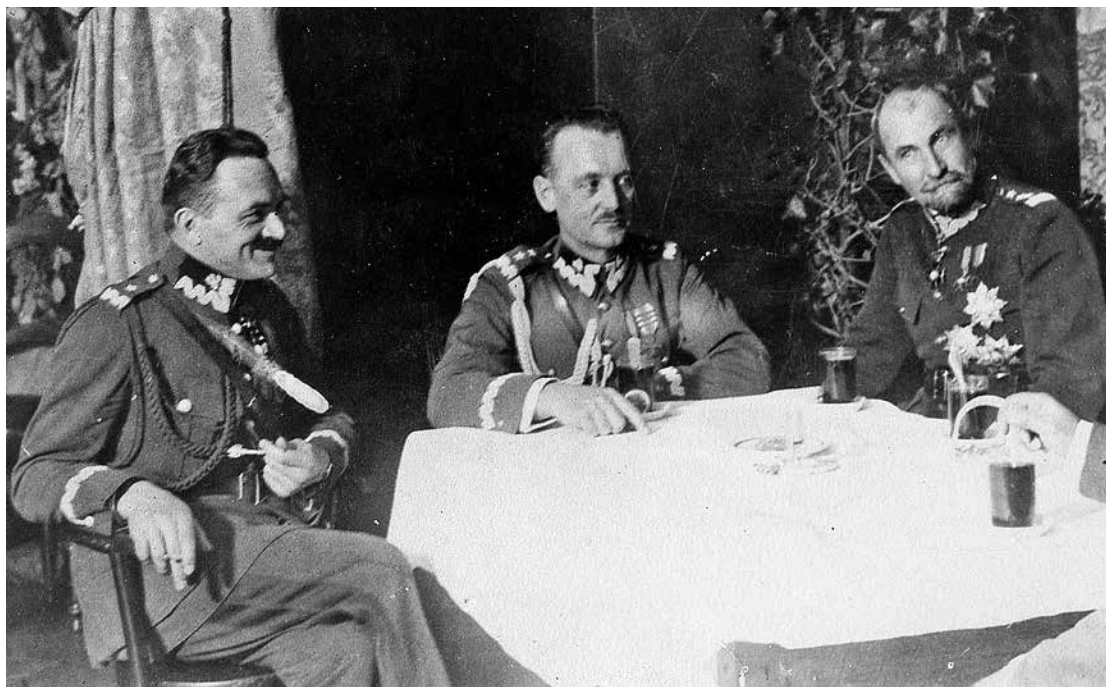
Kwota ta zostanie już przez Urząd wojewódzki przekazana Magistratowi m. Lwowa, który będzie w dalszym ciągu prowadził rozpoczęte z funduszów tej pożyczki roboty.

O tym z jakiego tytoniu produkowano papierosy musiał zdecydować premier Bartel...

Jaki tytoń palimy

Z inicjatywy p. Premjera Bartla odbyła się w związku z niedomaganiem monopolu tytoniowego ekspertyza jakościowa wytworów tytoniowych. W ostatnich czasach włoska firma uprzywilejowana „Cocite Comerziale di Tabacci Lugano” dostarczyła surowca tytoniowego, nie odpowiadającego warunkom umowy. Na podstawie wyników jakościowej ekspertyzy tych surowców przez komisję, złożoną z fachowych urzędników monopolu tytoniowego, która po stosownym zbadaniu odnośnych partii surowca pozostawiła surowiec dostarczony do dyspozycji firmie, z obowiązkiem wywieżenia go do dnia 15. bm. poza granice Polski. Są to dwie partje surowca, a mianowicie „Panderma” i „Chouen” w ilości ogólnej 73.797,5 kg. Co do tych dwóch partii odrzucenie ich jest definitywne, a pertraktacje na temat ich przyjęcia są wykluczone.

Odrzuconą partję surowca, „Panderma” oglądał fachowy



GENERAŁOWIE WŁODZIMIERZ ZAGÓRSKI (OD LEWEJ), WŁADYSŁAW SIKORSKI I TADEUSZ ROZWADOWSKI, 1925 R. PRZEŻYĆ UDAŁO SIĘ TYLKO SIKORSKIEMU

przedstawiciel firmy p. Czapraśnikow i uznał ją zgodną z opinią naszych ekspertów, za nieodpowiednią. Z wyniku ekspertyzy wyłoniły się poważne wątpliwości co do jakości jeszcze innych partii surowca, dostarczonego przez powyższą firmę. Rozstrzygnięcie nastąpi dopiero po przeklasowaniu odnośnych partii i ewentualnej próbnej przeróbce, co w rezultacie zadecyduje o tem, czy monopol tytoniowy ma te surowce zatrzymać, naturalnie przy odpowiednim obniżeniu cen, czy też należy je odrzucić i pozostawić firmie do dyspozycji, nie obawiając się wyników procesu, który niewątpliwie z tego wyniknie.

W pierwszej połowie sierpnia odbędzie się ekspertyza około 700.000 kg. surowca tytoniowego dostarczonego przez firmę uprzywilejowaną w ostatnich czasach.

W letnie upały nawet na rzece nie może być bezpiecznie.

Katastrofa statku na Wiśle

Na Wiśle pod Modlinem wydarzyła się straszna katastrofa. Statek pasażerski „Stanisław” wyjechał z Warszawy,



SKUTKI POWODZI W MIEJSCOWOŚCI PODGÓRZYNA

wioząc 460 osób. Rozszalała wichura rzucała statkiem tak dalece, że komendant statku w obawie przed niebezpieczeństwem kazał zawinąć do portu modlińskiego i gdy się nieco uspokoiło, parowiec wypłynął z powrotem na Wisłę, jednak wichura wzmożła się do tego stopnia, iż fale rzuciły statkiem o filary mostu. Dno statku zostało uszkodzone w trzech miejscach tak dalece, że woda wdzierała się do kajut, w których spali pasażerowie. Załoga składająca się zaledwie z 3 osób nie zdawała sobie sprawy z niebezpieczeństwa i dopiero, gdy statek począł tonąć, syrena

przeciągłym głosem wzywała pomocy. Na szczęście działa się to w pobliżu portu wojennego w Modlinie, który zorganizował natychmiast pomoc.

Pogotowie wojskowe zastało cały spód okrętu zalany wodą. Wielu z pasażerów ratowało się, usiłując płynąć do brzegu. Dzięki energicznej pomocy wszyscy zostali uratowani, gdy ostatni pasażerowie opuszczali statek, w 10 minut potem tył statku schował się pod wodę.

Straty są olbrzymie. Zostało zniszczonych 140 kanap, łóżek, oraz bardzo dużo towarów, które transportowano do Płocka.



TAKIE STATKI PASAŻERSKIE KURSOWAŁY PO WIŚLE

3 sierpnia „Gazeta Lwowska” umieściła nekrolog Jana Kasprowicza i uzupełniła go życiorysem poety:

Po zgonie Wielkiego Poety

Prezydent Rzeczplj. wystąpił wczoraj na ręce p. Kasprowiczej kondolencję, dalej wystąpił kondolencje Marsz. Piłsudski, komisarz rządu miasta Warszawy oraz cały szereg instytucji i klubów parlamentarnych. Z Warszawy wyjeżdża na pogrzeb Kasprowicza wielu przedstawicieli nauki, sztuki oraz delegacji rządu.

Syndykat dziennikarzy polskich wystąpił nast. depesze:

„Syndykat Dziennikarzy Polskich we Lwowie łączy się w głębokim bólu z całym narodem polskim po zgonie największego poety współczesnej Polski, członka honorowego naszego stowarzyszenia i przesyła Ci Pani wyrazy gorącego współczucia. Podp.: Zygmunt Fryluig, prezes, Wł. Szenderowicz, sekretarz.”

Prezes Rady Ministrów dr. Bartel przesał pani Kasprowiczej następujący telegram:

„Przejęty do głębi śmiercią ś.p. Męża Pani, boleje cały naród polski, wyrażam Pani imieniem Rządu i własnem najgłębszy żal i współczucie. Podp. Bartel.”

W Zakopanem zawiązał się kom. obyw. dla urządzenia pogrzebu ś.p. Jana Kasprowicza. Komitet urzęduje w biurach Tow. Tatrzańskiego, Krupówki, telef. Nr. 39. Kom. ustalił, że pogrzeb dobędzie się we środę 4 sierpnia, o godz. 9 rano.

„Gazeta Lwowska” przypomniała życiorys poety...

Kasprowicz Jan urodził się 12. grudnia 1860 r. w Szymborzu na Kujawach. Zmarł 1. Sierpnia 1926 w Poroninie. Do gimnazjum uczęszczał w Innowrocławiu, Opolu, Raciborzu i Poznaniu. Studja wyższe odbywał w Lipsku, Wrocławiu i Lwowie. Od r. 1888 pracował w redakcjach dzienników lwowskich. W r. 1904 uzyskał na podstawie rozprawy o Lenartowiczu doktorat filozofii w Uniwersytecie lwowskim. W pięć lat później mianowano go profesorem zwyczajnym porównawczej historii literatury. Wydał między in. Utwory poetyckie, prozę i rozprawy naukowe. Ponadto zawdzięczamy mu szereg wspaniałych przekładów literatury klasycznej i nowoczesnej. Tak np. przełożył utwory: Aischylosa, Eurypidesa. Sofoklesa, Szekspira, Marlowe'a, Byrona i innych pisarzy. Zbiorowe 6-tomowe wydanie utworów poety pojawiło się w r. 1910.

...i również relacjonuje przebieg pogrzebu poety:

Z Zakopanego donoszą

Wczoraj o godz. 9 rano z „Harendy” w następującym

porządku wyruszyły: Krzyż, orkiestra wojskowa, hufiec związku górali „Sokół zakopiański”, delegacje organizacji społecznych i kulturalnych, miejscowych i ogólnopolskich z wieńcami. Dalej kroczyły delegacje Uniwersytetów, Akademii Umiejętności, Uniwersytetu lwowskiego, duchowieństwo i t. p.

Zwłoki wieziono na wozie ubranym zielenią. Koło wozu 12 górali w ciemnych tuchach z pochodniami, następnie rodzina, przedstawiciele Rządu, delegacja Senatu i Sejmu, przyjaciele oraz publiczność. Pochód przeszedł ul. Chramcówki, Kościuszki do kościoła parafialnego, gdzie odbyło się nabożeństwo żałobne, odprawione przez ks. Proboszcza Toboniaka. Podczas nabożeństwa grał na organach Petri.

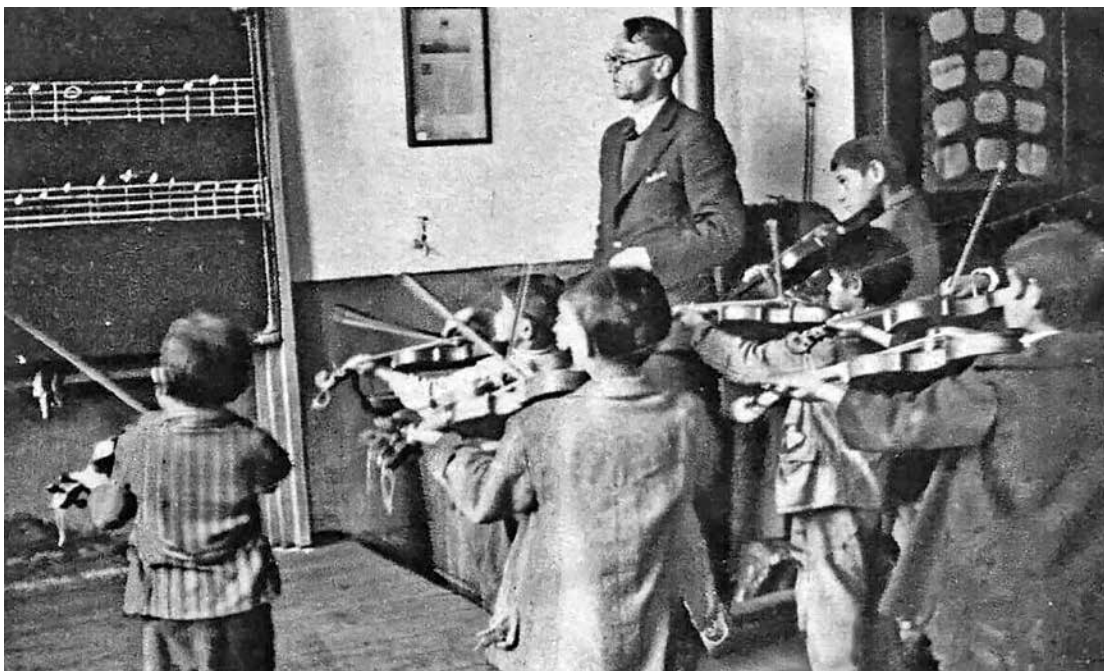
Po skończonem nabożeństwie trumnę wyniesiono przed kościół i wystawiono na podium, poczem wygłosili szereg mów przedstawiciele Rządu, Związku literatów i Uniwersytetu lwowskiego. Po skończonych przemówieniach literaci zanieśli trumnę na ramionach na stary cmentarz. Zwłoki tymczasem spoczęły w grobowcu rodziny Dłuskich.

Opublikowano również **Testament śp. Jana Kasprowicza**.

Jak donoszą z Zakopanego, otwarto tam testament śp. Jana Kasprowicza, datowany 5. października r. 1925.

1. Cały majątek na Harendzie podzielony na trzy równe części: między żonę i obie córki;

2 Biblioteka według uznania żony do jej dyspozycji oddana;



HISTORIA.INTERIA.PL

ZAMIAST WALCZYĆ Z CYGANAMI, LEPIJ NAUCZYĆ ICH CZEGOŚ POŻYTECZNEGO – NAUKA CYGAŃSKICH DZIECI GRY NA SKRZYPCACH

3. Poeta chce być pochowany na Harendzie, gdzie ma być zbudowana kapliczka z napisem złożonym przez niego samego;

4. Poeta pisze, że całe życie uważał się za chrześcijanina i spodziewa się, że Opatrzność po chrześcijańsku umrzeć mu pozwoli.

Lato 1926 r. to nie tylko wakacje i słońce. Po upałach nadeszło ochłodzenie, a z nim...

Katastrofalna powódź

Z różnych stron kraju nadchodzą do Warszawy wiadomości o gwałtownych ulewach, zwłaszcza rzek górskich. Najwięcej niebezpieczeństwa przedstawia Wisła pod Krakowem, gdzie stan wody z każdą

godziną wzrasta. Wszystkie dorzecza Wisły również do tego stopnia wezbrały, że w wielu miejscowościach musiano uciec się do pogotowia wojskowego, które udziela ludności pomocy w wywożeniu rzeczy. Z Zakopanego donoszą, że w powiecie Nowotarskim klęska powodzi zwiększa się z godziny na godzinę. W samym Zakopanem wylała rzeczka Gubałówka, porywając kilka zabudowań.

Z Krakowa donoszą o olbrzymich powodziach i szkodach, jakie wyrządziła trwająca od kilku dni ulewa. Onegdaj wieczorem wody Wisły wystąpiły z brzegów w Dębnikach i Ludwikowie oraz w powiecie Chrzanowskim, gdzie musiano z kilku wsi usunąć ludność. Komunikacja

przerwana. Stan wody na Wiśle w Krakowie wynosi 224 cm. ponad normalny poziom.

Donoszą o wylewie Skawy, która wylała na szerokiej przestrzeni, przyczem pod Zembrzycami zniszczone zostały na olbrzymiej połaci wszystkie plony. Również Soła wystąpiła z brzegów. Szereg mostów zerwanych.

Z Krakowa wyjechały ratownicze oddziały wojskowe na pontonach celem niesienia pomocy zagrożonej ludności. Także Raba wystąpiła z brzegów i zagraża miejscowości kąpielowej Rabce. Na drodze od Myślenic do Gdowa cała przestrzeń stoi pod wodą.

Wskutek ulewnych deszczów woda wyszła z koryta Sanu, zalewając niżej położone

miejscowości. Kompetentne czynniki z radcą Woj. Prezent-kiewiczem wydały odpowiednie zarządzenia. W niedzielę przez cały dzień usuwano plony z pól, przyczem nie obeszło się bez tragicznych scen. Szkody znaczne, obecnie nie dadzą się ustalić.

Rubryka „Co dzień niesie” informuje o...

Walce z muchami w Warszawie...

Komisariat rządu na m. Warszawę wydał rozporządzenie, aby do 1. października wszystkie okna w kuchniach, restauracjach, cukierniach, jadłodajniach i mleczarniach były natychmiast osłonięte ramami, obciążniętymi gęstą siatką. Zarządzenie to pozostaje w związku z walką z muchami. oraz...

...Walce z Cyganami w Warszawie

Niedaleko dworca wileńskiego kilka rodzin cygańskich obrało sobie tymczasową siedzibę. Awanturnicy warszawscy urządzili napad na śpiących cyganów, przy pomocy noży i rewolwerów. Cyganie rzucili się na napastników i rozpoczęła się krwawa walka, zakończona obrabowaniem cyganów. Zabrano im starodawne dukaty, około tysiąc złotych gotówką i trochę kosztowności. Naczelnik bandy cygańskiej pochodzi z Grecji, jak również i jego rodzina.

Została zachowana oryginalna pisownia

Ukraina odzyskuje terytorium, a generałowie boją się mówić prawdę Władimirowi Putinowi

– Jeśli porównywać szybkość posuwania się rosyjskiej armii (na froncie) z tym, co było rok temu albo wcześniej, to zmniejszyła się blisko dziesięciokrotnie. Albo i więcej. W gruncie rzeczy, na kierunku Konstantyniwiki i Łymanu niszczone są strategiczne zasoby (rosyjskiej armii) – sądzi ukraiński analityk wojskowy Pawło Łakijczuk.

Rosyjska armia sunie naprzód, lecz Ukraina cały czas się broni. Nie ma mowy o jakimkolwiek załamaniu (czy nawet przełamaniu) frontu. Ale Rosjanie nadal chcą podbić ostatnią doniecką aglomerację utrzymywaną przez Ukrainę (Słowiańsk i Kramatorsk), nie wiadomo tylko kiedy i jakim wysiłkiem. Początkowo zachodni analitycy mówili, że uda im się to do jesieni, teraz nie są pewni, czy Putin zdobędzie je nawet do końca roku.

„Oczywiście Putin wciąż zdaje się wierzyć, że jego armia zdoła przejąć pełną kontrolę nad obwodem donieckim, ale jego generałowie wciąż obawiają się konsekwencji powiedzenia mu, że jest to niemożliwe” – napisał w anglojęzycznym „Kyiv Independent” były premier Szwecji Carl Bildt.

– Ukraińcy wygrywają. Co ważniejsze, wiedzą o tym – opisuje z kolei amerykańska analityczka Leslie Shedd z Atlantic Council swoje wrażenia z podróży na południe kraju, w pobliżu frontu. Jej uwaga nie dotyczy jednak obwodu donieckiego, lecz zaporoskich stepów. W okolicach Orehowa i Hulajpola ukraińskie oddziały posuwają się do przodu. Trudno jednak zorientować się, jak tam wygląda sytuacja, bowiem ukraiński sztab generalny wywarł presję na najważniejsze niezależne grupy analityczne, by nie podawały dokładnego położenia wojsk.

Ofiarą tych zabiegów padli Rosjanie, uważnie obserwujący takie informacje z ukraińskiej strony. „Postali nas na zwiad do wioski, ale cztery kilometry przed nią wpadliśmy na wroga, nikt się go tam nie spodziewał. Nasi dowódcy uważali, że są znacznie dalej, aż za wioską” – skarżyli się w internecie.

– Już pod dowództwem (nowego szefa sztabu generalnego) Mychajły Drapatego przesunęliśmy się tam na jakieś 25 kilometrów. Na obecnym etapie wojny to bardzo duża odległość. W ciągu lipca wyzwoliiliśmy tyle terytoriów (w obwodzie zaporoskim i dniepropietrowskim – red.), ile wrogowi udało się podbić. Mamy z nimi taki parytet, a mierzysz się on 25–30 kilometrami – mówi ukraiński ekspert Ołeksij Hetman.

ŹRÓDŁO: RP.PL

List do redakcji

Stanisław Tokarski – aptekarz



Stanisław Tokarski urodził się w 1874 roku. Po uzyskaniu świadectwa dojrzałości studiował farmację na Wydziale Medycznym Carskiego Uniwersytetu Moskiewskiego. Po ukończeniu studiów w 1901 roku uzyskał dyplom prowizora farmacji.

Stanisław i Janina Tokarscy kupili w 1907 roku Dom Gdański w Węgrowie. W 1910 roku Stanisław Tokarski został właścicielem apteki w Węgrowie w Domu Gdańskim zlokalizowanej w Rynku nr 26. Aptekę prowadził do 1939 roku włącznie.

Jakie były losy Stanisława Tokarskiego po wybuchu drugiej wojny światowej nie ustalono. Na uwagę zasługuje fakt, że nazwisko Stanisław Tokarski nie widnieje w spisach farmaceutów w Polsce po 1939 roku.

Źródła:

1. Kalendarze Farmaceutyczne Franciszka Heroda z lat 1921–1939 Warszawa.

2. Księga adresowa Królestwa Polskiego na rok 1910. P. Kiel i J. Rolbiecki. Warszawa Drukarnia Artystyczna K.

Kopytowskiego i S-ki, Nowy Świat 47, 1910, s. 216.

3. Miejska Biblioteka Publiczna imienia Augusta Cieszkowskiego w Węgrowie. Historia.

4. Urzędowy spis lekarzy i innych. Cz. III Farmaceuci, s. 85.

5. Węgrów. Dom Gdański. Poczłtówka. Biblioteka Cyfrowa Wojewódzkiej Biblioteki Publicznej im. Hieronima Łopacińskiego w Lublinie.

BOŻENA SAWICKA-WIŚNIEWSKA
RYSZARD WIŚNIEWSKI

Kazimierz Wierzyński o przedwojennej i powstańczej Warszawie

1 sierpnia jest miesiącem pamięci o Powstaniu Warszawskim. Bohaterski zryw stolicy trwał 63 dni od 1 sierpnia do 2 października. W godzinie „W”, o godzinie 17:00 przypominają o nim we wszystkich miastach i wioskach Polski sygnały alarmowe. Zatrzymują się w milczeniu przechodnie, by oddać hołd uczestnikom tamtych wydarzeń. Stają samochody, inne pojazdy. Tego dnia na ulicach, na gmachach publicznych i prywatnych domach pojawiają się flagi narodowe. Ulicami stolicy przechodzi wielotysięczny tłum z pieśniami, okrzykami „Chwała Bohaterom!”. A wieczorem na Placu Józefa Piłsudskiego dziesiątki tysięcy mieszkańców stolicy witają z wielkim szacunkiem i oklaskami Powstańców, tych nielicznych już, którzy jeszcze żyją. Ogromne tłumy, razem z artystami na scenie, śpiewają powstańcze pieśni. Spotkanie i wielogodzinny, poruszający, a zarazem jednoczący wszystkie serca koncert organizuje Muzeum Powstania Warszawskiego, które w sierpniu przeżywa wielki najazd zwiedzających. Tych pieśni powstańczych, jakże różnych, zagrzewających do walki, okolicznościowych, refleksyjnych, jest bardzo wiele. Autorzy ich są często bezimienni. Wiele melodii powstało też do wierszy wybitnych czy znanych poetów: Krzysztofa Kamila Baczyńskiego, Tadeusza Gajcego, Władysława Bojarskiego, Krystyny Krahelskiej, Stanisława Kiewlewicza, wielu innych.

MARIUSZ OLBROMSKI

Właśnie w sierpniu trzeba też przypomnieć świetną twórczość Kazimierza Wierzyńskiego, bo w niej w sposób różnorodny, barwny, a także przejmujący przedstawiona została Warszawa okresu dwudziestolecia międzywojennego, a później czasu Powstania Warszawskiego. Wierzyński był poetą uwarzliwionym na wydarzenia historyczne; poetą niezłomnym, wiernym Polsce od wczesnych lat szkolnych, aż do śmierci na emigracji. Talent literacki łączył z gorącym patriotyzmem. Przyszedł na świat 27 sierpnia 1894 w Drohobyczu w rodzinie kolejarzkiej. Uczył się w rodzinnym mieście, a później gdy ojciec zmieniał miejsce pracy, w Chyrowie i w Stryju, gdzie uzyskał maturę w tamtejszym gimnazjum klasycznym. Następnie przez rok studiował na Uniwersytecie Jagiellońskim na Wydziale Filozoficznym zarówno polonistykę, romanistykę jak i filozofię, po czym przeniósł się do Wiednia, gdzie na tamtejszym uniwersytecie zgłębiał wiedzę w zakresie slawistyki i germanistyki. Ale już w tamtych latach nauki brał udział w ruchu niepodległościowym. Był członkiem Polskich Drużyn Strzeleckich, a także organizacji młodzieżowej Zarzewie, której celem było przygotowanie młodzieży do walki o odzyskanie



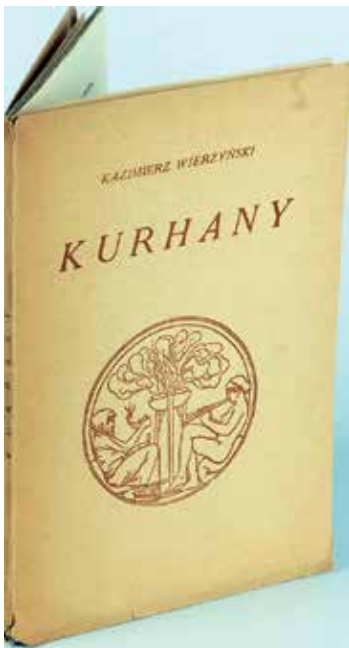
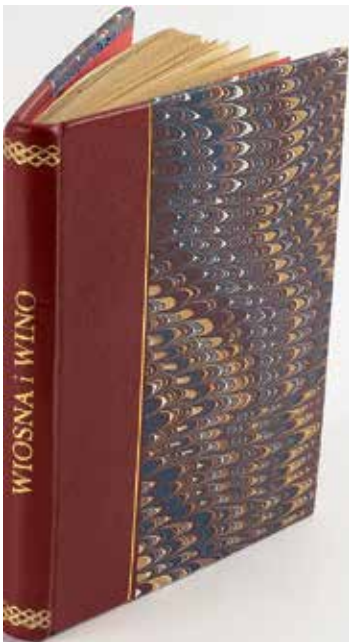
KAZIMIERZ WIERZYŃSKI

niepodległości, przygotowanie wojskowe. Tuż po wybuchu I wojny światowej znalazł się w ochotniczej formacji wojskowej Legion Wschodni, której dowódcą był generał Józef Haller. Po jej rozwiązaniu przez władze zaborcze i wcieleniu go do armii austriackiej dostał się w czasie walk w 1915 roku do niewoli rosyjskiej. Stamtąd został deportowany do obozu jenieckiego w Riazaniu w głębi Rosji. Po trzech latach niewoli zbiegł stamtąd i ukrywał się w Kijowie pod zmienionym nazwiskiem Wąsowicz. Tam wierny swym ideałom wstąpił do Polskiej Organizacji Wojskowej, zbrojnej organizacji utworzonej w sierpniu 1914 roku w Warszawie z inicjatywy Józefa Piłsudskiego, której celem była walka z carską Rosją, a później także z Niemcami i austriackimi zaborcami. Odbывał wówczas kolejne szkolenia wojskowe, które organizował Leopold Lis-Kula, bliski współpracownik Józefa Piłsudskiego. Jesienią 1918 roku, właśnie gdy Polska odzyskiwała niepodległość, Wierzyński przedostał się do stolicy. Od razu włączył się w budowanie życia artystycznego Warszawy jako współpracownik pisma akademickiego „Pro arte et Studio”, także jako uczestnik spotkań poetyckich w słynnej dziś kawiarni poetyckiej „Pod Picadorem”. Ale wkrótce, gdy doszło do wybuchu wojny polsko-bolszewickiej wziął w niej udział. Był bowiem w latach 1919–1921 oficerem do spraw propagandy w Wojsku Polskim. Pracował w Biurze Prasowym Naczelnego Dowództwa. W czasie marszu wojsk polskich oraz ukraińskich atamana Semena Petlury na Kijów redagował wraz ze współpracownikami ukraińskimi w Równem, w niezwykle trudnych warunkach frontowych „Ukraińskie Słowo”. A po wkroczeniu obu sprzymierzonych wojsk do stolicy Ukrainy zaczął wydawać „Dziennik Kijowski”. W czasie odwrotu i podczas Bitwy Warszawskiej pełnił z odaniem powierzone mu niezwykle istotne zadania prasowo-propagandowe w celu podtrzymania ducha bojowego żołnierzy, mieszkańców Warszawy. Zapobiegał skutecznie propagandzie bolszewickiej.

Te przeżycia wojenne stały się później inspiracją do powstania szeregu jego utworów odnoszących się do tych wydarzeń. Takich jak choćby „Piosenka ukraińska” z tomu „Wolność tragiczna”:

*Poszli nasi chłopcy w polskim wojsku służyć,
Poszli śmierć okrutną jeszcze raz powtórzyć.
Hej, hej, komendancie, miły wodzu nasz.
Położyli głowy i widzą jak płynie
Wielki w górę księżyc, duch na Ukrainie,
Zasnąć nie pozwala, świeci prosto w twarz.
(...)*

Po zakończeniu działań wojennych wyjechał do Szwajcarii, gdzie podjął pracę



w Bernie w polskim poselstwie w biurze prasowym, oraz do Francji. Po roku powrócił do kraju i osiadł na stałe w Warszawie. Przez cały okres dwudziestolecia międzywojennego mieszkał w stolicy i był niezwykle aktywny twórczo. Warszawa stała się świadkiem jego pracy redaktorskiej, poetyckiej, była także miejscem jego największych sukcesów literackich. Wszedł w skład najśłynniejszej wówczas w Polsce Grupy Poetyckiej Skamander, którą współtworzyli wybitni, młodzi jak on poeci, zdobywający szybko popularność: Jan Lechoń, Julian Tuwim, Jarosław Iwaszkiewicz, Kazimierz Iłłakowiczówna, Stanisław Baliński. Stale współpracował z miesięcznikiem „Skamander”, a później z „Wiadomościami Literackimi”, najciekawszym periodykiem literacko-artystycznym w kraju. Na jego łamach ogłaszał znakomite wiersze i liczne artykuły. Już od 1924 podejmował też



NAGROBEK KAZIMIERZA WIERZYŃSKIEGO NA CMENTARZU POWĄZKOWSKIM



współpracę z „Gazeta Polska”, gdzie ogłaszał recenzje teatralne i literackie. Od lat szkolnych interesował się sportem, szczególnie piłką nożną, i w latach 1926–1931 redagował z ogromnym powodzeniem „Przegląd Sportowy”, który to dziennik uratował przed upadkiem, zmieniał jego szatę graficzną, zespół redaktorski, a później jego nakład zwiększył się kilkakrotnie. Zespół zaczął tworzyć atrakcyjny język dziennikarstwa sportowego. Przed kioskami ustawiały się po „Przegląd Sportowy” kolejki. Z kolei W latach 1931–1932 redagował również tygodnik „Kultura”.

Przed wszystkim jednak tworzył znakomite wiersze, które ukazywały się zarówno w prasie literackiej jak i w kolejnych jego tomach poezji. Każdy z nich doczekał się przychylnych recenzji i zdobywał mu uznanie czytelników. Nieprzypadkowo w tamtych latach wyróżniony został m.in.: nagrodą literacką Polskiego Towarzystwa Wydawców (1925). Wielkim jego sukcesem był złoty medal 1928 w konkursie literackim IX Olimpiady w Amsterdamie za świetny tom poezji „Laur olimpijski”, zawierający chyba w ogóle najciekawsze w kraju utwory poświęcone olimpiadzie. W 1936 został uhonorowany Państwową Nagrodą Literacką Ministra Wyznań Religijnych i Oświecenia Publicznego. W styczniu 1938 roku został członkiem Polskiej Akademii Literatury. Prowadził w stolicy utworów poświęconych jego rodzinnym stronom, jego „małej ojczyźnie” stała się ważnym motywem jego twórczości. W jego debiutanckim tomie „Wiosna i wino”, który ukazał się w Warszawie już w 1919, a którego publikacji patronował uwielbiany przez Wierzyńskiego lwowski mistrz Leopold Staff, wybrzmiewają pełne radości i optymizmu tony. Wiersze są pełne młodzieńczej radości, afirmacji życia

i świata. Także humoru. Pisane są z jednej strony tradycyjnym językiem literackim, z drugiej pełne są kolokwializmów, nowoczesne przez ukazanie dynamiki ruchu, odczuć, wydarzeń. Ukazanie tego tomiku zbiegło się z wybuchem radości i dumy w kraju po odzyskaniu niepodległości. Książka bardzo skromnie wydana w wydawnictwie Jakuba Mortkowicza została przyjęta wyjątkowo dobrze, wręcz entuzjastycznie przez czytelników, szczególnie przez młode pokolenie. Rozeszła się błyskawicznie, a później miała jeszcze trzy wydania w dużych jak na ówczesne warunki nakładach. Wśród wielu świetnych utworów, jakie znajdujemy w „Wiosnie i winie” zwraca uwagę utwór „Aleje Ujazdowskie, niedzielne popołudnie” najlepiej chyba ukazujący ulicę i obyczajowość stolicy tuż po odzyskaniu niepodległości. Przytoczę choćby początkowy, ale jakże wymowny, fragment tego utworu:

*Aleje Ujazdowskie – niedzielne popołudnie,
Koniec września – już wiecie? – tak, jak wtedy bywa:
Bez troski i niebieska, tak ciepło i cudnie,
Że dusza się zanosi od słońca szczęśliwa
(...)*

Barwny i ogromnie interesujący opis Warszawy z okresu dwudziestolecia międzywojennego można też znaleźć w „Pamiętniku poety”. To wyjątkowe i obszerne dzieło początkowo powstało jako zbiór radiowych gawęd wygłoszonych przez Wierzyńskiego w Rozgłośni Radia Wolna Europa, które poeta nagrywał dla słuchaczy w kraju od połowy lat pięćdziesiątych. Pierwsze wydanie książkowe „Pamiętnika poety” ukazało się w Warszawie dopiero w 1991 r. w opracowaniu Pawła Kądzeli, niezwykle zastrzeżonego dla edycji dzieł Wierzyńskiego, także dla późniejszego wydania w Państwowym Instytucie Wydawniczym dwutomowej edycji „Poezji zebranych”, z 2011 roku i dotychczas najpełniejszej, jeśli chodzi o dorobek twórcy autora „Wolności tragicznej”. Właśnie na stronach „Pamiętnika poety”, można dziś znaleźć prawdziwie fascynujący obraz ówczesnej stolicy, barwnej, pięknie się rozwijającej. O świetnym życiu artystycznym i literackim, o ciekawych, niekiedy wybitnych postaciach. Wprawdzie Warszawa nie jest w tym dziele opisana w sposób systematyczny, nie jest to bowiem rodzaj kroniki miasta, ale podczas lektury tego dzieła na jego kartach odnajdujemy wspomnienia o wybitnych postaciach, spotkaniach literackich, życiu towarzyskim, teatralnym, opis mieszkań, ulic i wielu różnorodnych ówczesnych wydarzeń. To cały barwny kalejdoskop, tym bardziej cenny, że tamtej Warszawy, zarówno jeśli chodzi o jej piękno, elegancję i obyczaje już nie ma.

Zupełnie inny obraz stolicy znajdujemy w wojennej i powojennej twórczości Wierzyńskiego. Trzeba wspomnieć, że poeta został we wrześniu 1939 roku ewakuowany wraz z zespołem redakcyjnym „Gazety Polskiej” do Lwowa. Później przedostał się do Francji, a po napadzie hitlerowskim i po klęsce Francji udało mu się z trudem dotrzeć przez Portugalię i Brazylię do Stanów Zjednoczonych. Nie wrócił nigdy do kraju, do PRL-u, tak jak choćby inni jego przyjaciele z Grupy Poetyckiej Skamander: Jan Lechoń, Julian Tuwim, którzy mieli jednak jakieś złudzenia dotyczące możliwości prowadzenia twórczego i wolnego życia w PRL-u. Wierzyński do końca życia pozostał na emigracji i stał się jedną z czołowych postaci świata kultury polskiej poza



POWSTANIE WARSZAWSKIE. HISTORIA RZADKO BYWA CZARNO-BIAŁA. ZWŁASZCZA HISTORIA PISANA KRWIĄ

granicami kraju. Cieszył się wielkim autorytetem i uznaniem. Już w 1943 roku był założycielem i członkiem komitetu redakcyjnego „Tygodnika Polskiego” w Nowym Jorku, pisma Koła Pisarzy Polskich. Wśród założycieli znaleźli się tam także Jan Lechoń i Jerzy Wittlin. Zamieszkał na 20 lat z żoną Haliną w wynajętym domu w małej miejscowości rybackiej w Sag Harbor na wyspie Long Island, gdzie intensywnie tworzył. Tam powstało jego kilka nowych tomów poezji: „Korzec maku” (1951), „Siedem podków” (1954), „Tkanka ziemi” (1960). Ten ostatni tom otwiera poemat „Piąta pora roku”, jedno z arcydzieł poezji polskiej po części poświęcone jego rodzinnym stronom. Arcydzieło wyroste z tęsknoty do lat szkolnych, rodzinnego Drohobycza, innych zakątków. Następnie w 1964 roku przeniósł się z żoną do Rzymu, a później do Londynu, gdzie zmarł nagle 13 lutego 1969 w szpitalu St. George’s. Jego aktywność twórcza była, tak jak przed wojną różnorodna. Podjął, jak wspominałem, stałą współpracę z Radiem Wolna Europa, z londyńskimi „Wiadomościami”, redagowanymi przez Mieczysława Grydzewskiego, z którym się znali z okresu przedwojennego. Współpracował też w okresie późniejszym z paryskim „Instytutem Literackim” i publikował w „Zeszytach Literackich”.

Wierzyński pozostał nieprzejednany wobec podporządkowania Polski po wojnie ZSRR. Ustalenia konferencji jałtańskiej uznawał za zdradę aliantów. Jego wydany w 1946 roku tom „Krzyże i miecze”, napisany w latach 1942–1945, to jego najwybitniejsze dzieło okresu powojennego, którego tematem są losy wojenne i powojenne kraju. Jakże

wymownie wyraził ból po stracie swych bliskich. Książka ukazała się w Londynie w 1946 roku i w tym samym roku w Nowym Jorku. W dedykacji poeta wymienia członków rodziny, których stracił w okresie wojny. To matka Felicja, ojciec Andrzej, który zmarł, przyrodni brat Bronisław oraz jego syn Jan, którzy zginęli podczas Powstania Warszawskiego; brat Hieronim, który został zamęczony na Majdanku w 1944 roku oraz Janina Wierzyńska, córka Hieronima, która uczestniczyła w Powstaniu i poległa. Właśnie ten rodzinny dramat jest jednym z kluczy do zrozumienia „Krzyży i mieczy”. Wiele wierszy z tego tomu zostało opublikowanych wcześniej w prasie emigracyjnej.

Wśród licznych utworów znajdujemy poruszające opisy wojny i okupacji w Polsce, przypomnienia tragicznych losów bohaterskich żołnierzy polskich, obrazy rozlicznych cierpień ludności cywilnej, wreszcie ból po zdradzie aliantów i osamotnieniu w nieszczęściu Polski. Wśród tych wierszy szczególnie poruszają nas dziś utwory związane z Powstaniem Warszawskim, jego przebiegiem i skutkami. To: „Na kolumnę Zygmunta”, „1-go września 1944”, „A więc stało się” – wiersz związany z upadkiem powstania i świadomością klęski Warszawy. Także „Na zajęcie Warszawy przez Rosjan”

datowany przez poetę na 17 stycznia 1945, czyli w dzień wkroczenia Armii Czerwonej do zupełnie zniszczonej przez hitlerowców stolicy. Bez wątpienia Wierzyński był właśnie tym poetą tworzącym poza krajem, który najpełniej i najbardziej wyraziście wyraził tragedię i zarazem heroizm walczącej Warszawy.

Po wydaniu tej książki uznano, że Wierzyński stał się donośnym głosem sprzeciwu całej polskiej emigracji i całej Polski wobec zaistniałej sytuacji historycznej. W wielu wierszach wybrzmiewa rozpacz po spustoszeniu Warszawy przez hitlerowców i prawie zupełnym zniszczeniu milionowego miasta pełnego zabytków, stanowiących dorobek wielu pokoleń całego narodu. Rozpacz i ton żałobny po wymordowaniu przez hitlerowców około 200 tysięcy cywilnych mieszkańców, po stracie bliskich. To zdecydowany głos sprzeciwu wobec pozostawienia Polski w strefie sowieckich wpływów, co oznaczało przecież zniewolenie. Także hołd dla żołnierzy Armii Krajowej walczących do końca heroicznie, słabo uzbrojonych i ginących na oczach trzymilionowej, dobrze uzbrojonej, armii sowieckiej, która tuż za Wisłą beczynnie stała i patrzyła przez 63 dni i nocy na bombardowane i płonące, systematycznie mordowane przez Niemców miasto. Na oczach całego świata. Ci żołnierze AK, którzy przeżyli powstanie, byli później ścigani i mordowani w kaźniach UB. W jednym z dramatycznych utworów



KOLUMNA ZYGMUNTA III WAZY W WARSZAWIE

„Do sumienia świata” poeta zwraca się o sprawiedliwość dziejową. Pisz słowa skierowane głównie do aliantów:

*Gdzie duch wasz, wiara, ta gwiazda pomocy,
Co w planetarium milczącej wciąż nocy
Miała nam świecić, nad klęską nas wieść?
Wy wolni z wolnych, gdzie sztandar wasz dumny?
Czy razem z nami się kładzie do trumny?
I czoło wasze? I słowo? I treść” (...).*

Wśród wspomnianych utworów Wierzyńskiego o Powstaniu Warszawskim zwraca szczególną uwagę ten pod tytułem „Na kolumnę Zygmunta”. Kolumna ta, jakże charakterystyczna dla zabytków Warszawy, usytuowana jest na Placu Zamkowym tuż przy Zamku Królewskim. Staje się w tym utworze symbolem całego miasta, a jej zburzenie oznacza jego zagładę. Wierzyński rozpoczyna swój utwór cytatem z „Uspokojenia” Juliusza Słowackiego: „ Jest u nas kolumna w Warszawie”. Cytat ten stanowi jakby klucz do interpretacji całego jego wiersza. Wierzyński bowiem odwołuje się do przekonania wielkiego

romantyka wyrażonego w „Uspokojeniu” o sensie zrywu narodowego. W wierszu Słowackiego przywołany został okres insurekcji kościuszkowskiej i postać Jana Kilińskiego, bohaterskiego szewca, który gromił w Warszawie Rosjan i Prusaków. Oczy Kilińskiego są jak oczy upiora, ducha Warszawy, który patrzy i pamięta. Warszawa, choć zagrożona, trwa nadal, pomna swej przeszłości.

Wierzyński natomiast sądzi, że jeśli nawet Warszawa zostanie fizycznie zniszczona, Kolumna Zygmunta zostanie zwalona, to jednak powstanie w przyszłości, wniesie się z gruzów i będzie wolna. Wier na swym wszystkim zrywem powstańczym, nawet tym, zakończonych niepowodzeniem militarnym. Kończy swój utwór optymistyczną wizją: (...)

*Żywi ludzie usłyszają podziemne wołanie,
Na wiatr sztandary wyjdą, grot błysnie u drzewca
I wolność z czarnej ręki podźwignie się szewca
I kolumna królewska na placu powstanie.*

Jak wiemy dziś dobrze, Kazimierz Wierzyński, nie pomylił się.

Mariusz Olbromski

Z cyklu: W rocznicę Powstania Warszawskiego

Z Kazimierzem Wierzyńskim

Przewiany szarościami tamtych lat
poraniony stanem wojennym
późno lecz chcę właśnie teraz
wysławiać życia urok beczenny

Kroczyć z Wierzyńskim po stolicy
na plaży złotej wyciągnąć się błogo.
I patrzeć jak śmieją się dzieci
bawią się, chłapią, bez troski kąpią.

Na księżycu jak balonem polecieć
by spotkać się z gwiazdami.
Z mostu spoglądać w fale Wisły
w których jaśnieje nowa Warszawa.
I na starówkę spojrzeć w płomieniach
powstania i zgłiszczach dymiącej

ale miłością jak Feniks wskrzeszoną.
Pradawną – i dumną – i świetną.
Barwnym życiem kwitnącą na nowo.

„Danuta”

*„Hej chłopcy, bagnet na broń”
Krystyna Krahelska*

Postać twa widna tu w stolicy
z mieczem nadziei i wolności,
a serce twoje krąży
w tej powstańczej pieśni ku
przypomnieniu i wskrzeszeniu
czystej i wielkiej miłości.

Taka zostaniesz. Zawsze młoda.
Z tarczą wierności.

Z fal naszych dziejów trudnych wyłoniła.
Biegąca pośród bomb lecących
ku pomocy w zwałach gruzów,
huku rosnących płomieni.

Kobieca, krucha, a niezłomna.
Jasny świt nad Warszawą
zagłada w twe oczy.
Nim dzień nad nami blaski
swe roztoczy znów orzeł
przy ramieniu twoim zatrzepocze
nad złotostrunną pieśnią Wisły.

W Łazienkach Królewskich

Często ten park prastary chłonał
burzę mych myśli i koł z czasem
łaską muzyki pod wierzbą Chopina.

Seweryn Goszczyński biegł tam
zadzyszany z garstką szaleńców
nocą w stronę Belwederu.

Piłsudski chodził długo zamysłony
przez okna w półmrok alei spozierał,
na taflę stawu, w labirynty planów.

To gdy godzina „W” nagle wybiła,
batalion „Ruczaj” na wroga uderzał,
barwiła krew białe posągi
i drzewa które tyle już widziały.

A teraz krążą tłumy uśmiechnięte...
I każde serce, kamień, kwiat
powtarza: „Chwała bohaterom!”

Witryna literacka



Nie opuszczajcie nas nigdy

Nie opuszczajcie nas nigdy polegli,
Niech wasze czyny nasze myśli głoszą,
Niech wasze serca w naszych biją,
Płomień powstańczej Warszawy
Niech zawsze i wszędzie nam świeci
A tamte pieśni wciąż nad Wisłą krążą.

Nie opuszczajcie nas nigdy polegli,
Bo wasze kości barykadą świętą,
Za którą życie wolne teraz żyje,
Kroczą dążenia w dniu codziennym.

Nie opuszczajcie nas nigdy polegli
I uczcie nas wciąż heroicznej wierności,
I mocnej wiary pod zwałonym krzyżem.
Bo choć stolica padła – zwyciężyła,
Powstała z waszej krwi, nadziei, miłości.

Międzynarodowa Wystawa Światowa 1939 roku w Nowym Jorku z udziałem lwowskich firm i artystów (cz. 2)

30 kwietnia 1939 roku w Nowym Jorku została uroczystie otwarta przez prezydenta USA Franklina Delano Roosevelta oraz Alberta Einsteina Międzynarodowa Wystawa Światowa. Uroczystości otwarcia Wystawy na cały kraj transmitowała telewizja amerykańska. O czymś takim w przedwojennej Polsce można było tylko marzyć. Optymistycznym hasłem Wystawy było „The World of Tomorrow”, czyli „Świat Jutra”. To miał być świat kultury, postępu techniki i rozwoju sztuk pięknych. Prezydent Roosevelt mówił o przyszłości wolnej od wojen, o pracy dla dobra ludzi. Wystawę w ciągu jej trwania odwiedziło 44 miliony ludzi.

JURIJ SMIRNOW

Wystawa w Nowym Jorku była ostatnim akordem dwudziestolecia międzywojennego, unikalną w skali światowej, zarówno pod względem liczby wystawców, jak i czasu jej organizacji (w przededniu II wojny światowej), lecz okazała się prawie całkowicie zapomniana. Zadecydował o tym właśnie wybuch wojny. „Świat Jutra” taki, jak go przedstawiono na wystawie, nie nadzedł. Takiego jednak sukcesu jak nowojorska, nie doznała żadna inna przedwojenna wystawa światowa, łącznie ze słynną Wystawą Paryską w 1937 roku.

Pawilon Rzeczypospolitej Polskiej na Wystawie nowojorskiej o powierzchni około 6 500 metrów kwadratowych pod względem architektury był jednym z najciekawszych i najoryginalniejszych. Powstawał w zawrotnym tempie – w niespełna półtora roku. Wieża pawilonu górowała nad międzynarodową sekcją wystawy i była ozdobiona tarczami z herbami województw polskich. Ekspozycja pawilonu przygotowana w kraju miała manifestować dumę z dorobku kulturalnego i gospodarczego II RP, ale również przypominać najważniejsze wydarzenia polskiej historii.

Polski pawilon został otwarty kilka dni później, w rocznicę proklamowania Konstytucji 3 Maja. Do wybuchu II wojny światowej zostało tylko cztery miesiące, zaś wystawa w jeszcze pokojowym Nowym Jorku czynna była do wiosny 1940 roku. Ekspozycja pawilonu polskiego też nawiązywała do perspektyw rozwoju kraju, opowiadała o jego przyszłości, o rozwoju przemysłu, kultury i sztuki. Po klęsce wrześniowej pawilon polski stał się symbolem marzeń, które nigdy nie były urzeczywistnione, prawie reliktem przedwojennej Polski, której już nie było.

Pod względem umieszczenia eksponatów i treści ideowej, najważniejszą była ekspozycja Sali Honorowej. Symbolicznym unaczynieniem wielowiekowej historii Polski miały być, zgodnie z zamówieniem Urzędu Rady Ministrów, pomnik króla Władysława Jagiełły przy wejściu do pawilonu i cykl 7 obrazów historycznych namalowanych przez jedenastu malarzy z Bractwa św. Łukasza (tzw. Łukaszców) reprezentujący znaczące wydarzenia z historii Polski, jej wielowiekową historię i wkład narodu polskiego w rozwój cywilizacji europejskiej.



FRAGMENT PAWILONU POLSKIEGO

Obrazy zostały umieszczone na Sali Honorowej i w pierwszej kolejności zwracały uwagę odwiedzających. Były to wielkie obrazy o wymiarach 200 na 120 cm. To wymagające i terminowe zlecenie w 1938 roku rząd polski polecił profesorowi Tadeuszowi Pruszyńskiemu, dyrektorowi Szkoły Sztuk Pięknych w Warszawie i jego uczniom, zrzeszonym w Bractwie św. Łukasza. Artyści wspólnym wysiłkiem stworzyli ten cykl obrazów w ciągu trzech i pół miesiąca, malując wspólnie 10–12 godzin dziennie. Wyjątkowość projektu wynikała też z faktu, że każdy obraz, mając 11 współautorów, był zbiorowym dziełem artystycznym.

Monumentalne obrazy przedstawiały następujące tematy: „Bolesław Chrobry witający Ottona III pielgrzymującego do grobu św. Wojciecha w Gnieźnie. Rok 1000”, „Chrystus Litwy. Rok 1386”, „Nadanie przywileju zwanego Jedlińskim. Rok 1430”, „Unia Lubelska. Rok 1569”, „Konfederacja Warszawska (Uchwała o wzajemnej tolerancji wyznań religijnych). Rok 1573”, „Odsiecz Wiednia. Rok 1683”, „Konstytucja 3-go Maja. Rok 1791”. Każdy z tych tematów nie powstał przypadkowo,

lecz program cyklu był opracowany na polecenie Józefa Becka (który był właśnie inicjatorem powstania tego cyklu obrazów historycznych), ministra spraw zagranicznych, przez powołany w tej sprawie komitet naukowy, złożony z uczonych pod przewodnictwem profesora Oskara Haleckiego. „Pod jego egidą dokonano również wnikliwej kwerendy, w wyniku której historycy pomogli malarzom odtworzyć barwy i rodzaje materiałów używanych w strojach i wnętrzach dawnych epok”.

Zespół malarzy sześć miesięcy pracował codziennie po wiele godzin i dopiero z początkiem grudnia 1938 roku żmudna praca została zakończona. Trzeba tu dodać kilka słów o Bractwie św. Łukasza, grupie artystów, którzy w swojej twórczości odradzali sposób bycia i pracy średniowiecznych mistrzów cechowych. Było to jedno z najciekawszych i najważniejszych polskich ugrupowań artystycznych dwudziestolecia międzywojennego, hołdujące tradycyjnemu figuratywnemu malarstwu. W czasach awangardowych nurtów, abstrakcjonizmu Bractwo widziało wzór do naśladowania w malarstwie holenderskim XVI–XVII

wieku, w historycznej stylizacji tradycji średniowiecznego, realistycznego malarstwa polskiego. Współczesny historyk sztuki Magdalena Wróblewska pisała: „Działalność Bractwa rozpatrywać można na tle tendencji tradycjonalistycznych i klasycyzujących, jakie pojawiły się w latach 30. w Europie. „Łukaszców” utrzymywali zresztą kontakt z holenderskim Związkiem św. Łukasza. Ich twórczość należy też umieścić w szerszym kontekście rodzących się w międzywojennej Polsce koncepcji sztuki narodowej”. Ona też zauważyła, że artystów Bractwa św. Łukasza wyróżniał „...szlachetny charakter prac, wykonanych w technikach stosowanych przez dawnych mistrzów. Rzetelność i powaga. Historyczne stylizacje, eklektyczny realizm, który czerpał zarówno z tradycji barokowego malarstwa holenderskiego i hiszpańskiego, jak i włoskiego renesansu. Solidne opracowanie podstaw rzemiosła, zarówno rysunku, jak i technologii malarskich. Ich twórczość kojarzona z „realizmem magicznym” czy włoskim „pittura meta fisica”... Charakteryzowało się ono niepokojem, tajemniczą atmosferą, stanem zawieszenia akcji i działania postaci”. Inny historyk sztuki Joanna Pollakówna, analizując twórczość artystów, związanych z Bractwem św. Łukasza, zauważyła, że czynniki państwowe II Rzeczypospolitej wysoko ceniły styl artystów Bractwa i wspierały ich działalność artystyczną, z czym między innymi wiązały się liczne zaszczytne monumentalne zamówienia państwowe, takich jak ozdobienie wnętrz statków MS Piłsudski i MS Batory, które były chlubą polskiej marynarki cywilnej. Można też przypomnieć ozdobienie Szkoły Polskiej w Gdańsku i Wojskowego Instytutu Geograficznego w Warszawie. Dzieła malarzy Bractwa zostały eksponowane na Międzynarodowej Wystawie w Paryżu w 1937 roku, gdzie dyplomami honorowymi odznaczono prof. Tadeusza Pruszkowskiego, Antoniego Michalaka i Bolesława Cybisa za polichromię na stopie portyku pawilonu polskiego. Lecz największym, najgłośniejszym osiągnięciem Bractwa św. Łukasza była właśnie realizacja siedmiu wielkoformatowych kompozycji historycznych dla pawilonu polskiego na Wystawie nowojorskiej.

W wydanej w 1982 roku monografii „Malarstwo polskie. Między wojnami 1918–1939” Joanna Pollakówna określiła też miejsce „Łukaszców”

w sztuce polskiej i europejskiej w latach 30. XX wieku: „W uniesieniu młodzieńczego entuzjazmu chcieli „Łukaszców” wypłynąć na przestrzenie ponadczasowej sztuki, łączył ich pietyzm dla siedemnastowiecznego malarstwa holenderskiego i caravaggionistów, chętnie naśladowali ich dramatyczny światłocień i rozbudowaną kompozycję. Zadziwiające, że to, co w twórczości „Łukaszców” było w gruncie rzeczy synkretyzmem i stylizacją, zyskało, dzięki osobliwej chemii czasu, nieoczekiwane nową jakość, dającą się odczytać w dużych zespołach obrazów: z jednej strony przedziwną malarską witalność, z drugiej tę cechę, która wielokrotnie przybliżyła twórczość uczniów prof. Pruszkowskiego do współczesnych zjawisk europejskich, takich jak realizm magiczny i Nowa Rzeczywistość, przesunięcie konkretnego w sferę obcowania magicznego, jakąś aluzyjność do obcej niewytropionej rzeczywistości... Tak to czas wzbogaca i dopowiada artystyczne realizacje”.

Barwne życie towarzyskie było nieodłącznym aspektem funkcjonowania Bractwa. Każdy konkretny obraz omawiali i malowali wszyscy razem. Otóż każdy z tych obrazów został namalowany przez wszystkich jedenastu artystów, mianowicie prof. Tadeusza Pruszkowskiego, ideologa i założyciela Bractwa św. Łukasza i dziesięciu jego uczniów: Bolesława Cybisa, Bernarda Frydrysiaka, Jana Gotarda, Aleksandra Jędrzejewskiego, Eliasza Kanarka, Jeremiego Kubickiego, Antoniego Michalaka (który w latach 30. był związany ze Lworem i uczył w Państwowej Szkole Technicznej, był profesorem Instytutu Sztuk Plastycznych, współpracował z Janem Henrykiem Rosenem), Stefanem Płuzańskim, Januszem Podolskim i Janem Zamoyskim.

Obrazy Bractwa św. Łukasza i metody ich wspólnej pracy budziły spory i gorące dyskusje, lecz warto pamiętać, że „...cykl „Łukaszców” miał charakter wybitnie dekoracyjny, narracyjny i w kategoriach barwnego fresku należy rozpatrywać jego znaczenie”. Przez wiele lat później, jeden z autorów tego cyklu Jan Zamoyski wspominał: „Postanowiliśmy malować wspólnie wszystkie obrazy jednocześnie. Do tego celu świetnie nadawała się ogromna pracownia Pruszyńskiego w Kazimierzu Dolnym, w której czwórka koni można było zawracać... Ustaliliśmy, że obrazy będziemy malować temperą jajową na deskach oklejonych płótnem, że ambicje osobiste będą się musiały liczyć z opinią większości... Zasadą naszego działania było wykonanie poszczególnych faz przez różnych autorów. A więc: kto inny wykonywał szkic, kto inny go rozwijał na kartonie, ktoś inny podmalowywał na desce i ktoś inny kończył malowanie”. 7 grudnia 1938 roku cykl siedmiu obrazów Bractwa św. Łukasza przygotowanych na Wystawę nowojorską został pokazany w Warszawie w Instytucie Propagandy Sztuki, co stało się wydarzeniem w artystycznym w życiu stolicy. Wystawa trwała krótko, tylko do 1 stycznia 1939 roku. Na kolejną wystawę tych dzieł w Polsce trzeba było czekać 84 lat. Ozdobienie pawilonu polskiego i umieszczenie w nim eksponatów zostały dokładnie opisane w osobnym katalogu, który liczył ponad 500 stron i był opracowany w językach polskim i angielskim.



OBRAZ „UNIA LUBELSKA. ROK 1569”

W grudniu rusza kolejna edycja akcji charytatywnej „POMOCNA DŁOŃ DLA LWOWA”

W grudniu odbędzie się kolejna edycja akcji charytatywnej „POMOCNA DŁOŃ DLA LWOWA”, organizowanej przez FUNDACJĘ „SERCE DLA LWOWA” w Poznaniu. Poznańska Inicjatywa od wielu lat niesie pomoc Polakom mieszkającym w Lwowie oraz na dawnych Kresach Wschodnich.

W ramach akcji wolontariusze przygotowują i dostarczają paczki z żywnością, słodyczami, środkami higienicznymi, artykułami szkolnymi oraz upominkami świątecznymi dla dzieci, seniorów i osób znajdujących się w trudnej sytuacji życiowej. Pomoc trafia bezpośrednio do potrzebujących, bez pośredników.

W tegorocznej edycji, podobnie jak w latach ubiegłych, do Lwowa wyjedzie grupa

wolontariuszy, która osobiście dostarczy dary do polskich rodzin, osób samotnych i chorych oraz do polskich organizacji działających na terenie Lwowa i okolic. Szczególnym wydarzeniem będzie dodatkowo pomoc organizatorom spotkań św. Mikołaja z najmłodszymi podopiecznymi akcji.

Organizatorzy zachęcają wszystkich ludzi dobrej woli do włączenia się w przedsięwzięcie poprzez przekazanie darów rzeczowych lub wsparcie finansowe. Każdy gest solidarności ma znaczenie i pozwala sprawić, że święta Bożego Narodzenia będą dla wielu rodaków na Kresach czasem radości,



nadziei i pamięci ze strony Polaków z kraju.

Akcja „Serce dla Lwowa” od lat łączy mieszkańców Poznania, harcerzy, szkoły, wolontariuszy oraz darczyńców, którzy wspólnie pokazują, że pamięć o rodakach mieszkających za wschodnią granicą pozostaje żywa i przekłada się na realną pomoc.

Więcej informacji i numer konta na stronie: <https://serce-dlalwowa.pl/#kontakt>

Narodowe Centrum Kultury do 15 października 2026 roku przyjmuje zgłoszenia do programu stypendialnego Gaude Polonia 2027

Gaude Polonia to szansa, by przez sześć miesięcy mieszkać w Warszawie lub innym polskim mieście i realizować własny projekt twórczy pod opieką doświadczonych mentorów.

O stypendium mogą ubiegać się ukraińskie artystki i ukraińscy artyści działający w dziedzinie filmu, literatury, muzyki, teatru, sztuk wizualnych, ochrony dziedzictwa kulturowego, tańca, a także konserwatorzy zabytków, historyczki i historycy sztuki, krytyczki i krytycy oraz tłumaczki i tłumacze literaccy.

Wymagania formalne: portfolio, wiek do 40 lat, znajomość języka polskiego (co

najmniej na poziomie podstawowym), wykształcenie wyższe oraz obywatelstwo Ukrainy (lub innego kraju Europy Środkowo-Wschodniej).

Program Gaude Polonia od ćwierć wieku wspiera twórców z Europy Środkowo-Wschodniej. Dla wielu jego uczestniczek i uczestników stał się ważnym impulsem w rozwoju zawodowym. W gronie ukraińskich stypendystów programu znaleźli się m.in. Serhij Żadan, Halyna Kruk, Andrij Pawłyszyn i Andrij Lubka.

Szczegółowe informacje o naborze znajdują się na stronie Narodowego Centrum Kultury.

[FACEBOOK.COM/INSTYTUTPOLSKIYIV](https://facebook.com/instytutpolskiyiv)

Lwowska restauracja „Kupoł” zaprasza

Położona w samym sercu Lwowa, przy ul. Cytadelnej 37. Wyśmienita polska kuchnia, ciepła rodzinna atmosfera, nastrojowe wnętrza i muzyka. Menu także po polsku.

„Kupoł” to kameralna restauracja położona w sąsiedztwie Lwowskiej Filharmonii oraz dawnego Zakładu Narodowego im. Ossolińskich oferuje szeroki wybór tradycyjnych galicyjskich dań, bogaty wachlarz trunków, wyśmienite desery oraz legendarną lwowską kawę. „Kupoł” to miejsce, w którym goście zawsze mogą liczyć na



przyjazną atmosferę i wyjątkowe przyjęcie. We wnętrzach, w których zatrzymał się czas belle époque i przy dźwiękach nastrojowej muzyki poczują

Państwo klimat wspaniałych, minionych lat – świata przedwojennego Lwowa.

Wszystko to stwarza wymarzone warunki do organizacji przyjęć, bankietów, spotkań biznesowych, integracyjnych i rodzinnych, romantycznych rendez-vous, wystawnych kolacji oraz innych uroczystości.

Warto odwiedzić nas o każdej porze dnia i nocy! Stąd wszędzie jest blisko, a całe miasto znajduje się na wyciągnięcie ręki. Jesteś we Lwowie – wstąp do „Kupołu”.

KONTAKT: +380506746784
MAIL: KUPOLLVIV@UKR.NET

Chór „ECHO” zaprasza

Próby oraz spotkania towarzyskie – w poniedziałki i środy o godz. 18:30, pod kierownictwem profesjonalnych animatorów i pedagogów muzyki.

Jeśli masz lat 30+, 40+, 50+ itd. i możesz poświęcić czas dwa razy w tygodniu na próby (2 godz.), to nauczysz się pięknego repertuaru z choralistyki polskiej (i nie tylko). Jeśli jesteś młody i dysponujesz zapalem do nauki, to skuteczne nowoczesne pliki dźwiękowe pomogą szybko przyswoić ci partie głosowe.

Edward Kuc, tel.: 0665306908

Zespół pieśni i tańca „Weseli Lwowiacy”

Udziela indywidualnych konsultacji z tańca ludowego i towarzyskiego.

Zgłoszenie telefoniczne pod nr tel.: 05905087433.

Kierownik zespołu Edward Sosulski

Restauracja „Premiera Lwowska”

Zapraszamy do polskiej restauracji w centrum Lwowa przy ul. Żiżki 5. Oferujemy wykwintne dania kuchni polskiej i europejskiej, burgery, ryby, desery, koktajle oraz szeroki wybór win. Przytulna atmosfera, profesjonalna obsługa i niezapomniane smaki.



Tel. 096 299 82 16, 097 061 73 09

Kurier Galicyjski

Redakcja:

Lwów 79057
Львів 79057

telefon redakcji: +38 0980712564
e-mail: nowykuriergalicyjski@gmail.com
Свідцтво про державну реєстрацію
серія KB № 24708-14648P
від 19.02.2021 p.

Wydawca Stowarzyszenie
„Kurier Galicyjski”
Видавць ГО „Кур’єр Галицький”

założyciel Mirosław Rowicki

Skład redakcji Grupy Medialnej
Kuriera Galicyjskiego

Maria Basza
red. naczelny
e-mail: maribasza@wp.pl
Anna Gordijewska
zastępca red. naczelnego
e-mail: anna.gordijewska@gmail.com
Eugeniusz Sało
koordynator TV
i mediów elektronicznych
e-mail: eugene.salo@gmail.com
Karina Sało
e-mail: kvusochanska@gmail.com
Krzysztof Szymański
e-mail: krzyszymanski@wp.pl
Aleksander Kuśnierz
e-mail: oleksandr.kusnezh@gmail.com
Konstanty Czawaga
konstantyczawaga@wp.pl

Jurij Smirnow
e-mail: smirnowjura@gmail.com

Współpracują:

Alina Wozijan, Czesława Żaczek, Luba Lewak, Artur Żak, Agnieszka Sawicz, Kazimierz Świetlicki, Mariusz Olbromski, Maciej Serżysko, Iryna Kotłobułatowa, Elżbieta Lewak, Joanna Pacan-Świetlicka i inni.

Warunkiem zgody na przedruk całości lub części artykułów i informacji zamieszczonych w naszym piśmie jest uzyskanie pisemnej zgody redakcji i powołanie się na „Kurier Galicyjski”, 2025 r. Za treść ogłoszeń, oświadczeń i reklam redakcja nie ponosi odpowiedzialności i pozostawia sobie prawo do skrótów nadesłanych tekstów. Zamieszczamy również teksty, których treść nie odpowiada poglądom redakcji.

Gazeta ukazuje się 2 razy w miesiącu.
Газета виходить 2 рази на місяць.
Друкарня ТОВ „Прес Медіа Сервіс”
м. Львів, вул. Кошиця 7/29



Zadania realizowane przez Fundację Wolność i Demokracja:
Profesjonalne Media na Ukrainie I (2026)
Profesjonalne Media na Ukrainie II (2026)
Profesjonalne Media na Ukrainie III (2026)

Publikacja wyraża jedynie poglądy autora/-ów i nie może być utożsamiana z oficjalnym stanowiskiem Kancelarii Senatu



Utwór jest dostępny na licencji Creative Commons Uznanie autorstwa 4.0 Międzynarodowa. Pewne prawa zastrzeżone na rzecz Stowarzyszenia Kurier Galicyjski. Utwór powstał w ramach sfinansowania opłaty Senatu Rzeczypospolitej Polskiej nad Polakami i Polakami z granicą w 2026 roku. Żądano się na dalsze wykorzystanie utworu, pod warunkiem zachowania ww. informacji, w tym informacji o stosowanej licencji, o posiadaczach praw.

Od skamieniałych drzew do zdjęć surrealistycznych

W Siedliskach, położonych zaledwie kilka kilometrów od polsko-ukraińskiego przejścia granicznego w Hrebennym – Rawa Ruska w ramach spotkań w Izbie Regionalnej Muzeum Skamieniałych Drzew zainaugurowano wystawę zdjęć surrealistycznych młodego artysty Iwana Popowicza ze Lwowa. Miejscowych regionalistów oraz gości ze Lwowa, Żółkwy, Rawy Ruskiej przywiteli Paweł Borowiec, dyrektor muzeum i Marek Łuszczyński, burmistrz Lubyczy Królewskiej.

TEKST I ZDJĘCIA
KONSTANTY CZAWAGA

W murach dawnej wiejskiej szkoły zgromadzono około trzystu monumentalnych fragmentów skamieniałych pni cyprińników sprzed dwudziestu milionów lat, które zostały odnalezione na Roztoczu. Rehistoryczną ekspozycję geologiczną dopełniają tu bogate zbiory etnograficzne, dawne narzędzia rolnicze oraz izba myśliwska, tworząc kameralne sanktuarium pamięci pogranicza. Ta fizyczna bliskość granicy nadała wydarzeniu szczególnego wymiaru, sprawiając, że sztuka ze Lwowa, otoczona nienaruszonymi przez milenia skamielinami, zdołała bezbłędnie pokonać graniczne zasieki i zbudować mistyczny most między dwoma światami.

Temat projektu twórczego doktoranta Iwana Popowicza ze Lwowskiej Narodowej Akademii Sztuki brzmi: „Sztuka fotografii w surrealizmie. Metody, poszukiwania autorskie i współczesne interpretacje”.

Fotografia surrealistyczna to kierunek, który zaprzecza tradycyjnej logice i dokumentowaniu rzeczywistości, a w zamian wizualizuje obrazy z podświadomości, sny, halucynacje oraz absurdaalne zestawienia przedmiotów. W przeciwieństwie do klasycznego reportażu, fotograf surrealista występuje w roli reżysera lub twórcy kolaży. Tworzy on paradoksalny, „nadrealny” świat za pomocą iluzji optycznych, wielokrotnej ekspozycji (nakładania na siebie kadrów), solaryzacji oraz fotomontażu. Światowymi pionierami tego gatunku w latach 20. i 30. XX wieku stali się Man Ray, Dora Maar oraz Maurice Tabard.

Wbrew sowieckim zakazom ideologicznym, które przez dziesięciolecia niszczyły sztukę awangardową, Ukraina, a w szczególności Lwów, mogą poszczycić się głęboką historią fotograficznego i wizualnego surrealizmu. W międzywojennym Lwowie (lata 1929–1935) tętniło silne życie modernistyczne. Kluczową postacią lwowskiego surrealizmu fotograficznego był Aleksander Krzywobłocki – architekt i grafik, który sztuki fotografii uczył się u słynnego lwowskiego profesora Henryka Mikolascha. To właśnie Krzywobłocki tworzył złożone, osobliwe surrealistyczne fotokolaże i fotomontaże. Łączył w nich nieprzystające do siebie przedmioty, ludzkie sylwetki oraz elementy architektoniczne, osiągając efekt snu na jawie. Jednym z liderów i założycieli grupy „Artes” był Jerzy Janisch. Choć był przede wszystkim malarzem, Janisch aktywnie tworzył w technice kolażu, łącząc wycinki z czasopism, elementy fotografii oraz grafiki. Jego surrealistyczne kompozycje miały



IWAN POPOWICZ

często groteskowy i absurdalny charakter. Warto również wspomnieć o Ludwiku Lille – polsko-żydowskim malarzu, grafiku i teoretyku sztuki, który współtworzył koncepcyjne fundamenty grupy. Żywo interesował się on europejską awangardą fotograficzną i wprowadzał elementy surrealistycznego widzenia do swoich dzieł graficznych oraz mediów eksperymentalnych. Mistrzem tak zwanych „obrazów-obiektów” oraz kolaży, w których elementy fotograficzne i codziennego użytku

wplatały się w tkanę malarską w celu stworzenia paradoksalnych obrazów, był Henryk Streng – znany polski awangardzista (później tworzący jako Marek Włodarski). Wszyscy oni utrzymywali bliskie kontakty z Paryżem (centrum surrealizmu) i prezentowali swoje śmiałe fotomontaże oraz grafiki na licznych wystawach grupy „Artes” we Lwowie, Warszawie i Krakowie w latach 1930–1935.

W murach Muzeum Skamieniałych Drzew w Siedliskach, gdzie czas mierzy się

w milionach lat, konceptualna wystawa lwowskiego fotografa Iwana Popowicza zyskała unikalny wymiar. Tutaj, na samym pograniczu Polski i Ukrainy, gdzie pradawne kamienne pnie Roztocza sąsiadują z przedmiotami tradycyjnego życia wiejskiego, jego projekt „Utracona świętość” wyzbył się czysto akademickiego patosu.

Lokalni goście oraz turyści długo wpatrują się w złożone, surrealistyczne kolaże. Na styku wieczności skamieniałej przyrody i kruchości współczesnych obrazów cyfrowych, pytanie autora o to, czym jest dzisiaj ofiara, brzmi nie jak dyskusja z zakresu historii sztuki, lecz jak głęboka, niemal mistyczna przypowieść o wytrwałości ludzkiego ducha.

Iwan Popowicz zaprezentował ten swój mistyczny projekt online. W swoim projekcie Iwan Popowicz rezygnuje z prostego ilustrowania motywów religijnych. Wyjaśnił, że wykorzystuje fotografię surrealistyczną, by na nowo zdefiniować ich symboliczną naturę. Poprzez metodę dekonstrukcji odziera znane wszystkim obrazy sakralne z utartych znaczeń, otwierając

przestrzeń dla zupełnie nowych interpretacji. Artysta chce w ten sposób postawić widza przed fundamentalnym pytaniem: czym dzisiaj jest ofiara i czy w ogóle potrafi jeszcze nieść w sobie autentyczne, mistyczne doświadczenie?

Z kolei symbole – jak tłumaczy autor – nie funkcjonują tu jako ilustracje religijnych dogmatów, lecz jako otwarte znaki, które zmieniają swoje znaczenie w zależności od kontekstu. Z jednej strony odwołują się one do zbiorowej pamięci kulturowej, a z drugiej – pokazują jej kruchość, stawiając pod znakiem zapytania utarte mechanizmy postrzegania tego, co święte.

Jestem głęboko przekonana, że Iwan Popowicz to młody człowiek, który wyprzedza swój czas i zmienia nasze wyobrażenie o przedstawianiu scen sakralnych, obiektów, postaci i symboli – powiedziała Wira Bihum, artystka i badaczka sztuki z Rawy Ruskiej. – W umiętny, właściwy tylko sobie sposób przekazuje osobiste poczucie ofiarności. Od pierwszej minuty oglądania ekspozycji wpada się w wir sprzecznych myśli i emocji (na granicy protestu, zaprzeczenia, niezrozumienia, odrzucenia...). Jednak z czasem przychodzi równowaga: wzrok zatrzymuje się na kluczowych obiektach aranżowanych kompozycji, następuje proces zanurzenia, koncentracji i wreszcie – długo oczekiwane akceptowanie. To oczywiście, że każdy z nas inaczej interpretuje słowo, wydarzenia czy obrazy. Ale (i teraz wiem to na pewno) wystawa prac fotograficznych Iwana Popowicza nikogo z odwiedzających nie pozostawiła obojętnym. Mogłoby się wydawać, że metoda aranżowanej fotografii cyfrowej, którą autor posługuje się w procesie tworzenia swoich prac, nie niesie ze sobą nic nowego (istniała już wcześniej). Tak jednak nie jest, ponieważ Iwan Popowicz stosuje własną metodę obróbki końcowej zdjęć, wykorzystując minimalistyczny zestaw narzędzi, które zasadniczo zmieniają nasze postrzeganie koloru, światła, obiektu, ruchu czy głębi. Iwan Popowicz przedstawia ruchomą i wymowną przestrzeń, która ma określone ramy i wymiary, a jednocześnie jest przepełniona głębią i bezmiar. Jego surrealistyczne motywy, tworzone za pomocą wielowarstwowego montażu i cyfrowej obróbki zdjęć w połączeniu z elementami inscenizacji teatralnej oraz performance'u, jaskrawo dowodzą szczególnej wiedzy autora i hiszpańskich umiejętności głębokiego zanurzenia się w temat. Stajemy się nie pasywnymi widzami, lecz pełnoprawnymi uczestnikami dyskusji wokół retorycznego pytania: „Co człowiek jest gotów oddać w imię własnych ideałów?”.

O poszukiwaniach twórczych swego syna mówiła też Jarosława Popowicz, członek Lwowskiego Towarzystwa Przyjaciół Sztuk Pięknych.

Ten letni niedzielny wieczór w Muzeum Skamieniałych Drzew w Siedliskach upłynął pod znakiem wyjątkowych spotkań z historią, kulturą i sztuką. W ramach zorganizowanego programu publiczność z Polski i Ukrainy miała unikalną okazję wysłuchać prelekcję historyka, muzealnika oraz regionalisty Jacka Szczepańskiego „Szabla żołnierza polskiego XX wieku”. Wykładowi towarzyszył pokaz cennych eksponatów, który wzbudził ogromne zainteresowanie.

Tadeusz Kuba-Kozłowski z Domu Spotkań z Historią w Warszawie, który w tym czasie uczestniczył w Festiwalu Dziedzictwa Kresów na ziemi lubaczowskiej przybliżył zebranym skomplikowane i wielokulturowe dzieje Rawy Ruskiej.

